Wojewódzka biblioteka publiczna im. H. Łopacińskiego w Lublinie
czyt. 2552/1977/25

Ryszard Jegorow

Wyznanie starego człowieka

str. 8–9

SZTUKA I ŻYCIE KABARETOWE

Mirosław Derecki str. 11

ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

LUBLIN 11 XII 1977 Nr 25 (641) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

PO WĘGIEL TYLKO SIĘGNĄĆ

Tadeusz Jasiński

PRZYPOMINAM sobie koniec sierpnia minionego roku i moje rozmowy z górnikami. Ileż było wtedy w nich optymizmu, choć rozwaga dochodziła do głosu. Muszę przyznać, że wtedy wydawała mi się raczej pesymizmem, lub ostrożnością nieco kokieteryjną. Budowniczowie przeżywali właśnie największe sukcesy, dziennikarze nazywali je światowym rekordem. Słowo to nie podobało się jednak samym zainteresowanym. Odżegnywał się od niego nadsztygar Aleksander Styczeń, nie lubił go dyrektor Marian Puchajda, a dzisiejszy pierwszy sekretarz organizacji partyjnej na Bogdance, mgr inż. Marian Cieśnicki, na moje pytanie tak wówczas zareagował:

— To prawda, ludzie chcą jak najszybciej zejść do węgla. I to jest właśnie to. Te 390 metrów w ciągu dwu i pół miesiąca. Nie wynikało to z chęci pobicia jakiegoś pustego rekordu. Pusty jest wtedy, gdy na przykład 38 osób wejdzie do samochodu, nawet jeżeli kawałek pojadą, bo niczemu to nie służy.

Nadsztygar Olek Styczeń słusznie powiedział w telewizji:

— Nie jesteśmy biegaczami, nie bijemy rekordów, nie jesteśmy wyczynowcami, którzy na swój wynik pracują latami. To też, ale po prostu wytyczne partii i rządu mówią o potrzebie szybkiego zbudowania kopalni

Dokończenie na str. 4–5

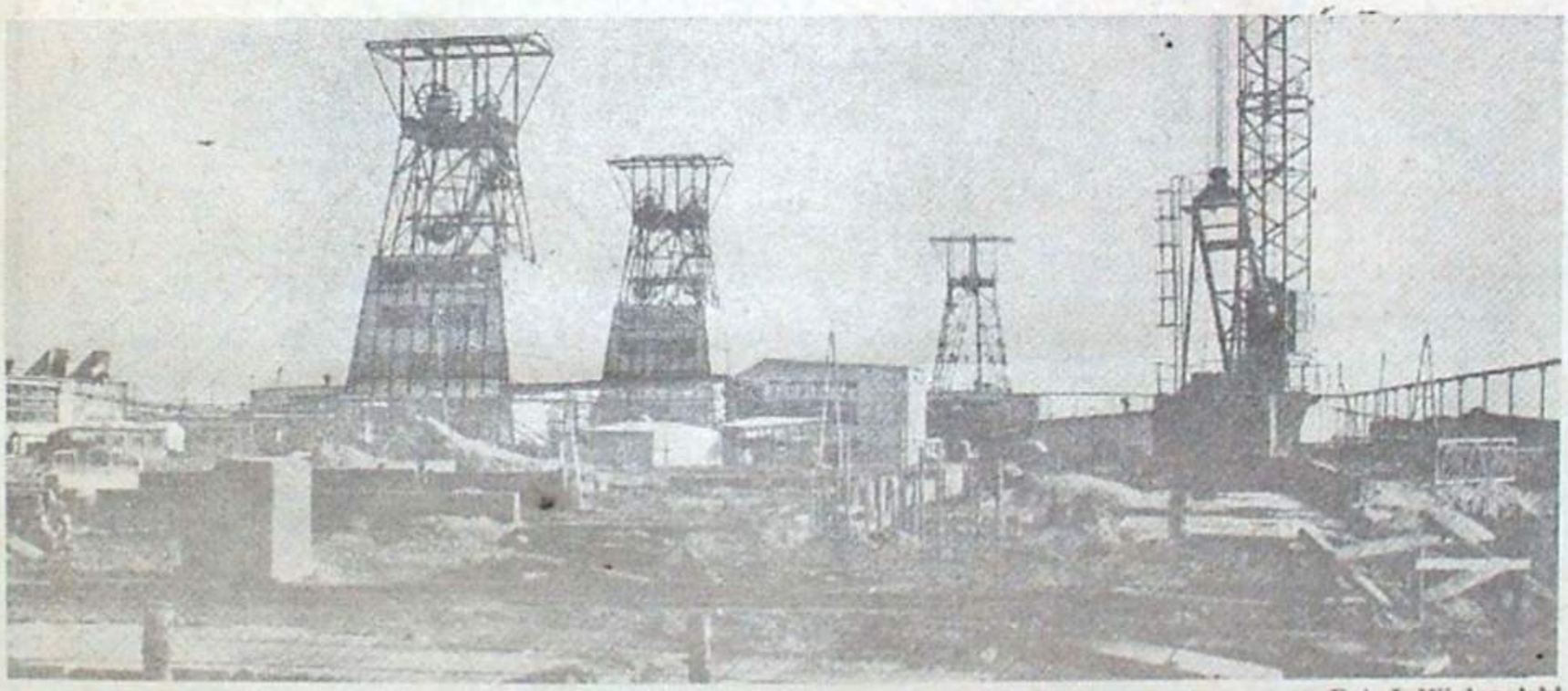

Fot. J. Wielopolski

MAŁY FIAT — DUŻE SPRAWY

Maciej Podgórski

ZASADNICZO do dyplomatycznych pertraktacji z dziennikarzami, czyli robienia budyniu z mózgów, wyznaczony jest kierownik biura dyrektora naczelnego Ryszarda Dziopaka — Edmund Czerbak, człowiek doświadczony i — jak się okazuje — potrafiący biegle sprowadzić każdą kwestię konkretną do okrągłych ogólników. Co wyglądałoby nawet zabawnie, gdyby nie było żałosne. Tym bardziej, że nie pytam o sprawy drastyczne — czy na przykład uprowadzono za bramę całe nadwozie „malucha", ukryte w skrzyni ciężarówki pod stertą trocin? I nie taję, że uważam fiata 126 p za produkt nowoczesny i na ogół niezawodny, a zaopatrzenie w części zamienne — niezgorsze w porównaniu z innymi markami samochodów...

O najbardziej kłopotliwych firmach-kooperantach nie będziemy rozmawiać, ponieważ trzeba zrozumieć, iż kooperanci miewają obiektywne trudności. Czy obiektywne trudności powodują przecieki oleju do środka aparatu zapłonowego podczas codziennej eksploatacji samochodu? Taki przeciek znaczy feler, ale taki feler może się zdarzyć w masowej produkcji. Przy pierwszym w PRL wypadku masowej produkcji tak złożonego urządzenia, jakim jest fiat 126p (około 3300 części), rozmaity dospekt może się niekiedy zdarzyć. Jako producent wyrobu finalnego, fabryka „rozlicza" kooperacyjne dostawy części zamiennych na rynek i „wykazuje" zalegających kooperantów, którzy wówczas zostają pozbawieni premii. Kogo wykazała ostatnio? A no wykazała, ale

Dokończenie na str. 10

Rys. E. Inglot

Ryszard Milczewski-Bruno

GRZEBACZ

Małgosi i Piotrkowi Müldner-Nieckowskim

Z nogą lewą — w stawie — o skoku pstrąga — kulawym
Z żebrem lewym — wbitym ostro — pod rtęć serca
Z lewą dłonią — maciorą — słonym kartoflem
Z barkiem lewym — wyrzuconym z łokcia — do skrzydła
Z lewym zębem — głodnym jak pieca wykrot
Z głową lewą — poprzez uszy wiatru — prawą

Oko oku — warga wardze — nieustannie...
Poeta — ale jakoś — nie taki.

z notatnika

26 XI. „Żywię niezłomną nadzieję, że wizyta, którą Pan był uprzejmy nazwać kamieniem milowym w naszych wzajemnych stosunkach, posunęła nas znacznie naprzód we wspólnych staraniach o zacieśnienie współpracy, a przede wszystkim w staraniach o osiągnięcie zrozumienia i porozumienia między ludźmi i naszymi krajami" — stwierdził kanclerz Republiki Federalnej Niemiec, Helmut Schmidt, w depeszy wysłanej z pokładu samolotu — po zakończeniu rozmów w Polsce — do I Sekretarza KC PZPR, Edwarda Gierka.

Prasa codzienna szczegółowo informowała o przebiegu tej wizyty, publikując teksty poszczególnych wystąpień jak i wspólnego oświadczenia. Czołowy przywódca RFN, jak i towarzyszący mu członkowie delegacji — wśród nich przedstawiciele życia gospodarczego i kulturalnego — mieli możność lepszego poznania współczesnej Polski. Huta Katowice, Fabryka Samochodów Małolitrażowych, stocznie — obrazowały dzień dzisiejszy. Kraków, Gdańsk i Warszawa mówiły o przeszłości naszego kraju i o pietyzmie do tradycji narodowej. Kraków, na szczęście, ocalał w czasie ostatniej zawieruchy wojennej, ale Gdańsk i Warszawę musieliśmy odbudowywać od podstaw. Filmy i zdjęcia z 1945 roku unaoczniły zachodnioniemieckiej delegacji ogrom pracy, jakiej dokonaliśmy.

Szczególnym akcentem — jeżeli tak można się wyrazić — wizyty było zwiedzenie przez naszych gości terenu byłego hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Widzowie całej Polski obserwowali na ekranach telewizyjnych napiętą twarz kanclerza RFN i słuchali jego wystąpienia. „Przybyliśmy tutaj — mówił Helmut Schmidt — aby nam i innym przypomnieć, że bez uświadomienia sobie przeszłości nie ma żadnej drogi prowadzącej ku przyszłości, ani żadnej drogi prowadzącej ku nowym, pozbawionym obciążeń stosunkom między Niemcami a Polakami. [...] Drogi pojednania nie mogą omijać Oświęcimia, podobnie jak [...]drogi porozumienia nie powinny kończyć się w Oświęcimiu."

Polacy dalecy są od tego, aby za doznane w czasie nocy okupacyjnej krzywdy obciążać każdego Niemca. Oczywiście pamiętamy i pamiętać będziemy o przeszłości po to, by ta ponura przeszłość nigdy powtórzyć się nie mogła, ale przede wszystkim chodzi nam o j u t r o. Z NRD już dawno oparliśmy nasze wzajemne stosunki na zasadach więcej niż dobrosąsiedzkiej współpracy. Później nieustannie dążyliśmy do unormowania naszych kontaktów z drugim państwem niemieckim — RFN. Trzeba było siedmiu lat od 1963 r. do 1970 r., aby po pierwszym układzie handlowym między Polską a RFN doszło do wizyty ówczesnego kanclerza RFN, Willy Brandta, w Warszawie i podpisania układu o normalizacji. Układu tego nie traktowaliśmy jako zamknięcia pewnego rozdziału wzajemnych stosunków, bo nie można tego było dokonać w ciągu jednego dnia i poprzez jeden akt. Uważaliśmy, że układ ten nie kończy, ale r o z p o c z y n a proces normalizacji. I kolejnymi etapami tej normalizacji stało się, po dwóch latach nawiązanie wzajemnych stosunków dyplomatycznych, a później całonocna rozmowa Edwarda Gierka z Helmutem Schmidtem w Helsinkach (1975 r.), wizyta naszego przywódcy w RFN (1976 r.) i wreszcie ostatni pobyt Helmuta Schmidta w Polsce. Efekty kolejnych rozmów są dobrze znane.

30 XI. Wielka polityka... Powrócę do niej, relacjonując rozpoczętą przed dwoma dniami wizytę Edwarda Gierka we Włoszech. Na razie jednak, ponieważ nasze życie składa się ze spraw bardzo ważnych, o wadze nawet historycznej, i spraw niezmiernie przyziemnych, chciałbym tym ostatnim nieco miejsca w mym notatniku poświęcić.

„W osiedlach prawdziwa zima" — pisze dzisiejszy „Kurier Lubelski" relacjonując opieszałość poszczególnych administracji. Nie wysypane piaskiem chodniki — historia powtarza się co roku i zawsze już zima nas zaskakuje. Wprawdzie dzisiaj mniej narzekamy na MPO, bo jezdnie w centrum miasta odpowiednio posypane solą umożliwiają na ogół bezpieczny ruch pojazdów, ale przecież w poślizg bardzo łatwo wpaść i na ulicach osiedlowych, o których pisze „Kurier". Kierownik Osiedla Sienkiewicza sam ma samochód, ale nie zatroszczy się o to, aby trochę piasku czy żużlu rzucono w miejscu skrętu ul. Wołodyjowskiego. Niedawno szalejący wiatr zrzucił z dachu pokrywę od włazu. Kilkadziesiąt kilogramów żelastwa spadło na chodnik. Na szczęście nikomu nic się nie stało, nikt nie zginął, żaden samochód nie został uszkodzony. Przypadek losowy? Ha! Przed dwoma bodaj laty podobna historia już się wydarzyła. Jej finał był równie szczęśliwy. Nie wiem, czy zrobiono jednak wszystko, by pokrywę od włazu należycie umocować. Po ostatnim wydarzeniu miałbym co do tego duże wątpliwości. Czy trzeba czekać aż na tragedię? A cała sprawa powinna stanowić sygnał ostrzegawczy dla administracji wszystkich osiedli mieszkaniowych: wichury mamy coraz częściej.

1 XII. Mały wypad do Tarnobrzega. Województwo to powstało z części aż trzech dawnych województw — lubelskiego, rzeszowskiego i kieleckiego. Właśnie w mieście otwarto placówkę Polmozbytu. Czekając na naprawienie awarii, sącząc brazylijkę, można nawet na ekranie telewizyjnym oglądać pracę mechaników. No, no, do czego dochodzi! Może spróbuję kiedyś, jak to wygląda w praktyce, kiedy znudzi mnie ślamazarna obsługa stacji naprawy przy ul. Wojciechowskiej w Lublinie. Notabene obserwowałem tu kiedyś „zmianę warty" w diagnostyce. Między godz. 14 a 14.30 było prawdziwe bezhołowie. Pogaduszki, uściski dłoni, papieroski... „Nie pali się". Pali się nawet wtedy, gdy napisy mówią, że „palenie surowo wzbronione". Po co więc wywieszać tabliczki zakazu, jeśli zakazu nikt nie przestrzega — ani mechanicy, ani, idący ich śladem, klienci? A swoją drogą samą organizacją pracy należałoby się solidnie zająć. Ile tu czasu bezproduktywnie straconego! Zarówno przez tych, którzy naprawiają, jak i tych, którzy przyjechali tu na przegląd bądź po poradę...

Ale wracam do Tarnobrzega. Odbyła się tu kilkudniowa Barbórkowa Drama Teatralna. Organizatorzy: Wojewódzki Dom Kultury Zagłębia Siarkowego, Urząd Wojewódzki, KIZPS „Siarkopol" sekcja Krytyki Teatralnej Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i Zarząd Wojewódzki ZSMP. Organizatorów akurat więc tyle samo co i zespołów teatralnych. A do Tarnobrzega przybyły zespoły: Teatru im. Solskiego w Tarnowie z „Zabobonnikiem" Zabłockiego, Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie z „Moralnością pani Dulskiej" Zapolskiej, Teatru Nowego w Łodzi z „Egzaminem" Gawlika, Teatru Bagatela w Krakowie z „Zemstą" Fredry i Teatru im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie z „Protokółem pewnego zebrania" Gelmana. Jak więc widzimy w sumie repertuar bość bogaty i wszechstronny.

Tarnobrzeski WDK umiał rozbudzić wśród swoich bywalców zainteresowania sceną. Tutaj ukształtował się, liczący dziś ok. 200 osób, Klub Miłośników Teatru. Jego członkowie nie tylko dyskutują nad problemami teatralnymi, ale i czynnie uczestniczą w poszczególnych spektaklach, odwiedzając przynajmniej raz w miesiącu Warszawę czy Kraków. Ponad 250 km do Warszawy, ponad 150 km do Krakowa, powroty grubo po północy, rezerwowanie miejsc niekiedy z terminem półrocznym (!). Budzi szacunek owo zainteresowanie. Zasługi WDK-u i jej instruktorki do spraw teatru, Bogusławy Herdzik, trudno tu przecenić. Przykład wart jest naśladownictwa przez inne WDK-i.

2 XII. Cztery interesujące felietony w „Odgłosach", tygodniku społeczno-kulturalnym wychodzącym ponad 19 lat w Łodzi. Autor podpisujący się „Widok" pisze: „Zdarza się czasem, że ktoś ma tzw. zły dzień. Taki właśnie dzień miała niedawno telewizja. Zaczęło się to już w Dzienniku, gdzie Adam Bronikowski zajął się problemem kalkulacji cenowych producentów. [...] Operując przykładami konkretnych zakładów, powiedziano prawdę, ale nie do końca. Oto rzucono gromy na hutę szkła w Garwolinie za zawyżone ceny flakonów do perfum. Lecz dlaczego na hutę, skoro ona tylko wypełniła polecenie zjednoczenia, co zresztą wynikało z przedstawionego dokumentu. A dlaczego zjednoczenie wydało takie — niezgodne z normą — zarządzenie? Dalej komentator już nie sięgnął. Postawiono też nieszczęsnej hucie zarzut, że flakony do perfum „Pani Walewska" skalkulowała w cenie 20 zł, podczas gdy koszt produkcji wynosił tylko sześć złotych. No, cóż, zysk 14 zł na sztuce nie jest znów taki wielki, znam większe — p. Bronikowski również. Szkoda, że nie sięgnięto do przykładów naprawdę zawyżonych kalkulacji przedsiębiorstw. Warto zresztą spojrzeć na owe flakoniki z Garwolina także od innej strony. Otóż dotychczas „Pollena" kupowała opakowania do „Pani Walewskiej" po... 40 zł sztuka, sprowadzając je z zagranicy. A zatem huta z m n i e j s z y ł a koszty perfum o całe 20 zł". Bez perfum żyć można. Ale przy całej tej sprawie nasuwa się i taka: koszt opakowania. Często daje się słyszeć skargi na nasze opakowania, że nieestetyczne, że nie chwytają klienta. Osobiście wolałbym opakowanie z gatunku tzw. zastępczych, byle tylko sam towar był przyzwoity. Bo jeśli staranniejsze opakowanie ma automatycznie prowadzić do podwyżki towaru, który zawiera wewnątrz, wolę, przynajmniej na razie, by zostało po staremu. W danym wypadku chwała jednak Garwolinowi, że zaczął produkcję flakonów, produkcję antyimportową. Budzi jednak zdziwienie, że do tego czasu flakony musieliśmy importować z zagranicy. Za dewizy uzyskane z kryształów? — pytam kompetentnych naiwnie.

Teraz powrót do wielkiej polityki. Wczoraj zakończyła się wizyta Edwarda Gierka we Włoszech; dzisiejsza prasa przynosi na ten temat obszerne publikacje.

O rozmowach polsko-włoskich przywódca PRL E. Gierek powiedział: „Stwierdziliśmy zgodnie, że współpraca polsko-włoska rozwija się dobrze, przynosząc wymierne korzyści i satysfakcję obydwu stronom. Obecnie jednak powstają warunki dla dalszego jej zdynamizowania we wszystkich dziedzinach życia, a zwłaszcza w sferze gospodarczej, gdzie duże potencjały obu krajów i wzajemna komplementarność stwarzają obiektywne przesłanki dla znacznie szerszych związków."

Helmut Schmidt w Polsce, Edward Gierek we Włoszech. Dwie wizyty w tak krótkich odstępach czasu. Kontynuacja procesu odprężenia, procesu, w którym Polska odgrywa niebagatelną rolę.

3 XII. Uroczysta akademia w Katowicach z okazji Dnia Górnika. W prezydium na czołowym miejscu zasiada I sekretarz KW PZPR w Lublinie, Władysław Kruk. Wspominam o tym, bo do lubelskiego węgla coraz bliżej. Sądzę, że dożyję dnia, kiedy centralne uroczystości barbórkowe będą odbywać się i w Lublinie. Na razie mamy tu uroczystości lokalne.

MAJ

W 80-LECIE URODZIN KAJ-a WYSTAWA W CHEŁMIE

9 grudnia o godz. 16.30 w sali Wojewódzkiego Domu Kultury w Chełmie nastąpi otwarcie wystawy poświęconej życiu i twórczości Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. Organizatorzy — RSW „Prasa—Książka—Ruch" i WDK w Chełmie — zapraszają wszystkich zainteresowanych.

W 10 ROCZNICĘ ŚMIERCI

Karol Kuryluk

DZISIEJSZY czas biegnie szybko. Tak szybko, że często umyka z pamięci kilka lat dzielących nas od śmierci znanych osób. Karol Kuryluk umarł 9 grudnia 1967 roku, ale że to już dziesięć lat, mówi kalendarz. Myśl się czuje zaskoczona.

Urodził się 27 X 1910 roku w Zbarażu i całe swe życie związał z ideą społecznego postępu. W latach 1933—39 brał udział w rewolucyjnym ruchu robotniczym jako naczelny redaktor lwowskich „Sygnałów", pisma postępowej inteligencji polskiej sprzeciwiającej się uciskowi narodowościowemu i pauperyzacji klas niższych. Był jednym ze współorganizatorów w roku 1936 Kongresu Pracowników Kultury, który zwołany z inicjatywy Komunistycznej Partii Polski odbył się pod hasłem obrony pokoju i kultury zagrożonej przez narastające w kraju tendencje faszystowskie. Podczas drugiej wojny światowej Kuryluk pracował w redakcji miesięcznika „Nowe widnokręgi", a kiedy Niemcy zajęli Lwów, wydawał tam konspiracyjne pisma Gwardii i Armii Ludowej.

Lublinianom najlepiej znana jest działalność Kuryluka tuż powojenna: w Lublinie w latach 1944—45 wydawał on tygodnik literacko-społeczny „Odrodzenie". Było to pismo niezwykle potrzebne, gdyż stanowiło manifestację słowa polskiego wychodzącego z podziemia po latach okupacji, podczas gdy jeszcze nie wszystkie połacie kraju zostały wyzwolone. Skupiło pióra wszystkich pisarzy znajdujących się w „stołecznym Lublinie" i zyskało dużą popularność u czytelników. Prowadził je Kuryluk do roku 1947 jeszcze w Krakowie, gdzie po przesunięciu się frontu na zachód znalazła się redakcja.

Następnie pełnił Karol Kuryluk kolejno funkcje kierownika literackiego Polskiego Radia, dyrektora Państwowego Instytutu Wydawniczego, prezesa Centralnego Urzędu Wydawnictw, ministra Kultury i Sztuki, ambasadora PRL w Austrii i dyrektora Państwowego Wydawnictwa Naukowego. Śmierć oderwała go od pracy na tym ostatnim stanowisku.

Należał do tych, których zawsze potrzebowała sprawa klasy robotniczej i polskiej kultury demokratycznej. Zasady demokracji wprowadzał nie tylko piórem i działalnością organizatorską, ale w najbardziej bezpośrednim obcowaniu z ludźmi. Bez względu na pozycję zajmowaną przezeń w hierarchii społecznej nie sposób było dopatrzeć się w nim dygnitarza. Był sobą.

Wszyscy, którzy go znali bliżej, musieli odczuć skutki życzliwości, jaką posiadał dla każdego. Dla każdego starającego się o podniesienie własnych kwalifikacji i wartości środowiska. Młodzi twórcy często odwoływali się do jego decyzji, kiedy nieprzychylne okoliczności administracyjne utrudniały realizację ich zamierzeń.

Karol Kuryluk ze względu na swój niebywale istotny udział w życiu społecznym należy do ludzi, o których nie można myśleć w czasie przeszłym.

Z. M.

PO IX PLENUM KC PZPR

Siedem czapek pod ziemią

PO REFORMIE administracyjnej kraju opracowano w województwie lubelskim plan wybudowania około 1200 mieszkań w 49 gminach wiejskich i czterech miasto-gminach. Chodziło o mieszkania dla pracowników administracji i służby agrotechnicznej. Miały one być jednym z bodźców, zachęcających fachowców do osiedlania się w tzw. terenie. Jak dotychczas, realizacja tego planu wygląda mizernie — do użytku oddano około 150 mieszkań. Głównie ze względu na brak wykonawców.

Gdyby to miały być mieszkania starego typu, a więc bez instalacji, wykonawców zapewne by nie zabrakło. Ale mieszkań bez wodociągu i kanalizacji, bez centralnego ogrzewania nikt już budować nie może. A wybudowanie tych domów z pełnym wyposażeniem oznacza, iż trzeba dodatkowo uruchomić 48 źródeł ciepła, 33 osadniki, 31 studni z hydroforami. Trudno tu zdobyć materiały, a jeszcze trudniej fachowców. Jeżeli zaś i te przeszkody zostaną pokonane, to wyłania się niebagatelna sprawa wysokości czynszów. Mieszkania te budowane są na zasadach spółdzielczych, więc koszt tych wszystkich instalacji dolicza się do kosztów budowy samego domu. Ponieważ zaś całość kosztów budowy rozkłada się na stosunkowo nieliczną grupę mieszkańców, czynsz jest bardzo wysoki, nieraz dwukrotnie wyższy niż w osiedlach spółdzielczych w miastach.

W całościowym planie budownictwa mieszkaniowego owe domki w gminach stanowią wprawdzie bardzo potrzebny, ale ostatecznie tylko drobny fragment. Piszę zaś o tym dlatego, aby pokazać, jak bardzo kosztowne i skomplikowane jest uzbrajanie terenu, czyli tworzenie tego, co fachowcy nazywają infrastrukturą komunalną.

Spoglądając na nowe osiedla mieszkaniowe, widzimy tylko domy, sklepy, punkty usługowe, szkoły, drogi. Tymczasem owa infrastruktura, całkowicie ukryta w ziemi, jest często najtrudniejszym etapem inwestycji. A jej koszt jest bardzo wysoki. Przeciętnie w kraju wynosi połowę tego, ile kosztują same budynki, niekiedy zaś znacznie więcej. Drogie są nie tylko materiały. Cieszymy się np., gdy domy mieszkalne powstają na pagórkach czy stokach głębokich jarów. Mówimy wtedy, że architekt ma możność wyzyskania bogatej rzeźby terenu. Ale fachowcy od budowy instalacji wiedzą, że bogata rzeźba terenu oznacza dla nich dodatkowe trudności. Bywa w Lublinie, że niektóre wykopy dochodzą do głębokości 14 metrów. Nie zastanawiamy się też nad tym, że w instalacjach kanalizacyjnych i burzowych woda powinna spływać na zasadzie grawitacji. Często jednak okazuje się to niemożliwe, bo kolektor zbiorczy jest położony wyżej — i wtedy trzeba budować stację pomp. Jak w każdym urządzeniu mechanicznym w takiej stacji może nastąpić awaria i dopiero wtedy pomstujemy.

Ale pomstujemy i wówczas, gdy na osiedlu, w którym właśnie otrzymaliśmy mieszkanie, co kilkanaście kroków czyha na nas jakiś wykop. Typowym przykładem takiej sytuacji jest lubelskie osiedle Czechów, gdzie nawet pomiędzy już zamieszkałymi blokami pełno jest takich pułapek. Utrudniają one życie nie tylko lokatorom, ale także budowlanym wszelkich branż, przede wszystkim zaś tym od budowy domów. Brak jakiego takiego dojazdu, brak miejsca na swobodne operowanie dźwigiem, wiecznie krzyżujące się na prowizorycznych drogach kierunki transportów, sam fakt zgrupowania na małym placu zbyt dużej liczby ludzi przeszkadzających sobie wzajemnie — oto sytuacja, jaka istnieje nie tylko na Czechowie. Nic dziwnego, że każda z robót posuwa się wolniej niż powinna, że zdarzają się zbyt liczne niedoróbki lub usterki. Nie mówiąc o stratach społecznych, powstają straty czysto ekonomiczne. Nikt ich jeszcze nie policzył, bo pewnie i kryteria skomplikowane, w każdym razie wydaje się, że dla określenia tych strat na średniej wielkości placu budowy nie wystarczy sześć cyfr. W tej praktyce też należy szukać często przyczyn tego, co dość eufemistycznie nazywany brakiem frontu robót, a co prowadzi do mniejszego lub większego opóźnienia oddania do użytku całej inwestycji.

Jak wykazały badania Ministerstwa Gospodarki Komunalnej i Ochrony Środowiska, w kraju co trzeci budynek powstaje równolegle z infrastrukturą, instalowaną na placu budowy. Wskaźnik ten uznano za wysoce niepokojący i w rezultacie rząd przyznał gospodarce komunalnej pokaźne środki dodatkowe.

W woj. lubelskim sytuacja jest bez porównania gorsza: równolegle z instalacjami buduje się 60 proc. budynków mieszkalnych. Dodatkowe zwiększenie nakładów inwestycyjnych na infrastrukturę komunalną w wysokości 31 mln złotych w roku ub., a na rok przyszły o 150 mln złotych zmniejszy ten wskaźnik, jak twierdzą ludzie odpowiedzialni za programowanie, do 55—56 proc. Praktycznie nie będzie to miało prawie żadnego znaczenia i przyjdzie nam czekać jeszcze ładnych parę lat, zanim sytuacja ulegnie normalizacji, to znaczy instalacje w ziemi będziemy kładli przed wejściem budowlanych na plac budowy.

Niezależnie od 181 mln złotych już przyznanych dodatkowo, władze wojewódzkie wystąpiły jeszcze o przyznanie 240 mln na rok 1979 i 280 mln na rok 1980. Do tego dołączono dokładny program niezbędnych dla województwa robót instalacyjnych. Prawdę powiedziawszy, potrzeby są większe, nawet możliwości otrzymania limitów. Ale cóż z limitów, gdy brak wykonawstwa! Tego zaś z dnia na dzień się nie stworzy. Chodzi zarówno o fachowców jak i bazę techniczną dla jednego, a potem chyba dwóch przedsiębiorstw. Piszę świadomie o dwóch przedsiębiorstwach, wiem bowiem z praktyki, że w podobnych sytuacjach brakuje nam odpowiedniej perspektywy na przyszłość. Przykładem tego Komunalne Przedsiębiorstwo Robót Instalacyjnych. Przed ośmiu laty otrzymało ono nową bazę, która niemal zaraz po przejęciu okazała się zbyt mała i niedostatecznie wyposażona.

Niedawno w artykule na inny temat napisałem mimochodem, że w Lublinie, zresztą w całym województwie także, podobnie jak w sąsiednich, wykopy dla instalacji komunalnych prowadzi się po staremu: dla każdej instalacji osobny kanał. Wynika to zarówno z wygodnictwa projektantów, jak i wykonawców, a także i z tego powodu, że nigdy nie ma pełnej dokumentacji na całą infrastrukturę komunalną.

W wielu krajach świata, a także w naszych województwach zachodnich, buduje się już prefabrykowane kanały zbiorcze na wszystkie instalacje łącznie. Kanał jest oczywiście głębszy i szerszy niż normalnie, a betonowe prefabrykaty powodują, że i koszt jest znacznie wyższy od każdego kanału prowadzonego osobno. Usiłowałem dowiedzieć się u instalatorów, jakie są wzajemne relacje tych kosztów, nikt jednak nie umiał mi konkretnie odpowiedzieć, co chyba dowodzi, że nikt się tą sprawą na serio nie interesuje, bo dobrze jest jak jest, czyli najlepiej nie robić sobie kłopotu z technicznymi nowościami, choćby były one przez innych wielokrotnie sprawdzone.

Powstaje jednak w Lublinie kawałek takiego kanału zbiorczego. Właściwie pod przymusem, bo innego wyjścia nie było. Chodzi o przeprowadzenie kilku instalacji pod stacją rozrządową PKP na Tatarach. Ale zaraz poczęstowano mnie taką wiadomością, chyba po to, abym ostygł w zapale popierania owych kanałów zbiorczych: otóż na Tatarach 500 m takiego kanału będzie kosztowało około 65 mln złotych. A więc jeden metr kanału za 130 tys. złotych! Nie wypowiedziane pytanie brzmiało: czy stać nas na tak drogie inwestycje?

Pewnie że nie stać, przynajmniej dzisiaj. Tylko jeden z moich rozmówców zapomniał dodać, że jest to kanał specyficzny, budowany pod torami kolejowymi, którymi przejeżdżają i będą przejeżdżać pociągi z wyładowanymi wagonami towarowymi, że właściwie buduje się tam tunel a nie kanał. I dopiero po dłuższej dyskusji zgodziliśmy się, że wprawdzie kanał zbiorczy prowadzony do nowej dzielnicy będzie nieco droższy, niż osobne kanały, ale konserwacja i naprawa prowadzonych w kanale zbiorczym instalacji znacznie łatwiejsza i tańsza. Odpadnie bowiem całkowicie potrzeba nieraz kilkakrotnego kopania w ziemi, aby odnaleźć miejsca awarii: w kanale zbiorczym wystarczy latarka — i natychmiast można przystąpić do usuwania awarii.

Uważniejszy czytelnik mógł się już zorientować, że sprawa budowy infrastruktury komunalnej (do niej należą jeszcze drogi, ale to osobna sprawa) jest bardzo skomplikowana. Moim zdaniem równie skomplikowana jest struktura organizacji tym się zajmujących, a w konsekwencji efektywne zarządzanie.

Otóż sprawami infrastruktury komunalnej w Lublinie i województwie zajmują się: Wydział Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego, Wojewódzka Dyrekcja Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich, Wojewódzkie Zjednoczenie Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej i podległe mu Wojewódzkie Biuro Projektów Budownictwa Komunalnego, Wojewódzkie Zjednoczenie Budownictwa Komunalnego i Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa wraz z podległym biurem projektów Inwestprojekt. To tylko same tzw. czapki, nie mówiąc o przedsiębiorstwach bezpośrednio produkcyjnych.

Podział kompetencji jest podobno przeprowadzony dość dokładnie, chociaż człowiekowi z zewnątrz trudno się w tym podziale zorientować, a jeszcze trudniej cokolwiek załatwić, bo prawie nigdy nie trafi na tego, na kogo potrzeba. Tak więc jedna organizacja zajmuje się nadzorem ogólnym, druga sporządza programy pięcioletnie i plany roczne, trzecia otrzymuje środki na ich realizację i przekazuje je czwartej. Biura projektów są naciskane przez wszystkich, a Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa wprawdzie powinna zajmować się tylko infrastrukturą wewnętrzną osiedli, ale cóż z wewnętrznej, gdy nie będzie zewnętrznej...

Oczywistą jest rzeczą, że każdy program, plan, limit, zadanie dla projektantów musi być, a przynajmniej powinno być, uzgadniane z innymi kontrahentami, co w naszych warunkach nie jest ani proste, ani możliwe do wykonania „od ręki", nawet gdyby nastąpiło jakieś trzęsienie ziemi we wcześniej ustalonych planach. Trwa to nieraz tygodniami, by nie napisać miesiącami. Wszyscy spieszą się dopiero w sierpniu, bo wiadomo, że co nie będzie do końca tego miesiąca przygotowane i uzgodnione, nie wejdzie do planu następnego roku. Bywa jednak, że wskutek braku czyjejś bystrości jako datę ostatniego uzgodnienia stawia się dzień 6 września, zadanie więc nie mieści się w planie i trzeba jeździć aż do premiera, aby anulować owe nieszczęsne sześć dni...

Rozmawiałem z szefami prawie wszystkich wymienionych wyżej jednostek. Każdy twierdził, że na nim spoczywa najwięcej obowiązków, że właśnie on ma największe kłopoty, ale odpowiedzialność ponosi ktoś drugi, bo on jest tylko skromnym wykonawcą tego, co mu się poleci, a w zakresie tego polecenia wszystko jest w porządku. Gdy obcesowo pytałem, czy potrzebna jest tak wielka liczba jednostek zajmujących się w końcu jednym zagadnieniem, moi rozmówcy najpierw milkli, a potem oświadczyli, że właściwie to jest dobrze, że tak być nadal powinno. Tylko jeden opowiedział się jasno za uproszczeniem całej tej organizacji, twierdząc chyba słusznie, że stan obecny utrudnia sprawne zarządzanie zarówno budową jak i eksploatacją całej komunalnej infrastruktury technicznej. Ale prosił o nie podawanie jego nazwiska czy funkcji, bo nie chce, a raczej nie może, narazić się tym, z którymi musi tak czy inaczej współpracować.

Nie jestem zwolennikiem zbyt częstych reorganizacji. Wydaje mi się jednak, że w tej dziedzinie taka reorganizacja, zmierzająca do usprawnienia zarządzania i zwiększenia odpowiedzialności, jest potrzebna.

Na osiedlu Czechów
Fot. M. Stankiewicz

Kamena str. 3

Sztuka orężem ideologii jakobińskiej (2)*

Grzegorz Leopold Seidler

Do męczenników jakobińskich otoczonych aureolą świętości zaliczono: Lepeletiera, Łazowskiego, Marata oraz dwu młodych bohaterów, którzy zginęli w walce z kontrrewolucją — Barę i Viale. Trzech pierwszych uroczyście uczczono żałobnymi pochodami, zaś dla dwu ostatnich, wobec upadku rządów Góry, nie zdołano już urządzić manifestacji.

Zgilotynowanie króla w styczniu 1793 r. zaostrzyło walkę między rojalistami a republikanami. W oczach rojalistów tragiczna śmierć monarchy była jakby odkupieniem jego błędów i słabości. Nieżyjący Ludwik XVI stał się męczennikiem monarchii, bohaterem reakcji. Jednakże lud Paryża nie poddał się tym nastrojom — przeciwnie, wykorzystał nadarzającą się okazję dla zademonstrowania swego przywiązania do ustroju republikańskiego. W przededniu egzekucji króla jakiś rojalista zamordował popularnego członka Konwentu, Michała Lepeletiera. Morderstwo wywołało oburzenie ludu. Konwent wydał odezwę: *Obywatele! to nie jedną osobę śmiertelnie uderzono, ale Was. To nie jest tylko Michał Lepeletier, którego nikczemnie zamordowano, ale to Wy jesteście! To nie był cios wymierzony przeciw życiu Waszego przedstawiciela, lecz przeciw życiu narodu, przeciw wolności, przeciw zwierzchnictwu ludu!*

Pochód żałobny zamordowanego przywódcy ludu, przeciągający ulicami Paryża z Placu Vendome do Panteonu, gdzie Lepeletiera uroczyście pochowano — był wielką manifestacją Francuzów przeciw monarchii. David ofiarował Konwentowi obraz zatutułowany „Śmierć Lepeletiera" — była to prawdziwa rewolucyjna pieta. Bohater Davida przedstawiony jest w pozycji martwego Chrystusa z ikonografii i rzeźby religijnej, wyobrażających Marię z Jezusem na kolanach. Nad nagim ciałem Lepeletiera artysta umieścił skrwawiony miecz przecinający kartkę papieru z napisem: „Głosuję za śmiercią tyrana". Obraz Davida umieszczono w sali obrad Konwentu.

* * *

W cztery miesiące po zabójstwie Lepeletiera — śmierć Łazowskiego dała znowu sposobność do urządzenia wielkiej żałobnej demonstracji, którą jakobini przekształcili w masowy antyżyrondowski protest. Polakowi Łazowskiemu, który w porównaniu z późniejszymi polskimi rewolucjonistami jest u nas postacią stosunkowo mało znaną, wypada tutaj poświęcić nieco więcej miejsca. Klaudiusz Łazowski był dobrze znany w radykalnych kołach Paryża, jakkolwiek poprzednie koleje jego życia trudno ustalić. Wyróżnił się bowiem szczególnie i uzyskał powszechny rozgłos dopiero 10 sierpnia 1792 r., kiedy przewodził jako kapitan kanonierów sekcji Finistère atakowi sankiulotów na Tuileries. Wtedy też powołano Łazowskiego, nazywanego bohaterem przedmieścia Saint-Marceau, na członka Komuny. Szczególnie ostro zwalczali żyrondyści Łazowskiego za to, że krytykował ich gwałtownie w dniach 8—10 marca 1793 r. Pięć dni później, 15 marca, na posiedzeniu klubu jakobinów Łazowski chlubił się, że został potraktowany przez żyrondystów jako ich wróg i konspirator ustroju, mówił, że zawsze będzie konspirował przeciw intrygantom i kończył słowami: *Szanuję Konwent, ponieważ jest on powołany przez lud, ale, jak sądzicie, jaką opinię mogę mieć o pewnych indywiduach, którym powierzyliśmy władzę, a które jednocześnie są ewidentnymi kontrrewolucjonistami?*

Kiedy nagle zmarł, powszechnie mówiono, że był ofiarą otrucia przez żyrondystów. Takie przekonanie wyraził publicznie Peyre w środę 24 kwietnia 1793 r. na zebraniu paryskiego klubu jakobinów. Natychmiastową reakcją na oświadczenie Peyre'a było wezwanie wszystkich jakobinów i obywateli zapełniających trybuny do udziału w pogrzebie Łazowskiego. Pogrzeb ten miał się stać wielką jakobińską manifestacją przeciw żyrondystom. Na tym samym posiedzeniu Robespierre wygłosił mowę na cześć Łazowskiego, z której zanotowano tylko wstęp i zakończenie:

Gdyby kontrrewolucja — mówił Robespierre — *miała takiego obrońcę jak ten oto, którego Republika obecnie utraciła, wówczas mowa na jego cześć zostałaby wygłoszona przez najlepszych mówców, a we wszystkich zakątkach Republiki przyznawanoby mu najwyższe honory publiczne, takie, jakie przyznano Mirabeau. Kiedy jednak wielki człowiek, człowiek niedoceniany kończy swe skromne życie, kiedy o nim mówią tylko ludzie jemu podobni, wówczas ów prawdziwie wielki człowiek może liczyć tylko na chwałę ludu...*

Dalej protokół notuje, że Robespierre „mówi o usiłowaniach Łazowskiego, zmierzających do tego, by prawda dotarła do Konwentu". Podczas jego przemówienia jedna nie wykończona trybuna załamuje się pod ciężarem słuchaczy, którzy się tam stłoczyli nie znajdując gdzie indziej miejsca. Robespierre kontynuuje:

Obywatele! Poznajcie cenę wolności. Ileż zbrodni dokonuje się, aby unicestwić jej obrońców? Opłakujcie waszego brata... I ja go też opłakuję. Ale przysięgam, że mój głęboki ból obróci się na pożytek wolności. (Oklaski). *Przysięgam, że wszyscy przyjaciele Łazowskiego — wszyscy patrioci są moimi przyjaciółmi. Przysięgam na cień Łazowskiego, przysięgam na jego grób, nieubłaganą nienawiść do wszystkich łotrów, a nieśmiertelną miłość do wszystkich ludzi cnotliwych, do wszystkich nieszczęśliwych.*

Obywatele! Jeśli chcecie zachować to, co macie najdroższego, czcijcie pamięć patriotów. Dajcie tę pociechę ich następcom. Oby z prochów obrońców wolności odrodziły się miliony mścicieli! (Oklaski. Wszyscy obywatele zdejmują kapelusze i jednocześnie przysięgają pomścić śmierć Łazowskiego).

Obywatele! — mówi Robespierre — *Nie dajcie się dalej mamić szar-*

PO WĘGIEL TYLKO SIĘGNĄĆ

Dokończenie ze str. 1

w Bogdance i Zagłębia Lubelskiego.

Górnik Leszek Krzyżanowski opinię tę potwierdził:

— Dobra organizacja, to i wyniki są. Już zaczęliśmy ponad pół kilometra w głąb. Na naszą robotę tam, na dole, wszyscy patrzą i czekają. My to wiemy i czujemy, bo wciąż się mówi, że jak nam pójdzie i na co po drodze natrafimy, tak będzie się budować w drugim szybie, tak będzie się głębić następne szyby w Nadrybiu i w całym Zagłębiu. Tak twierdzą inżynierowie. Zbliżamy się już do głębokości 585 metrów, do tego miejsca, gdzie zaczyna się podobno kurzawka. Do najgorszego idziemy, a my nie wiemy, jak nas przywita. Wiercenia wierceniami, ale chociaż były robione dokładne badania, wiele wiadomo tylko teoretycznie. Nikt jednak tam, w ziemi, nie był, nie pomacał. Kiedy już zajdziemy całkiem na dół, pomacamy własnymi rękami, wtedy będzie całkiem inaczej. Każdy z nas tak czuje, tu pracują ludzie doświadczeni. Robimy i tak się razem trzymamy. Każdy by chciał, żeby to już było, żeby wreszcie nadeszła ta chwila, tylko czekamy, żeby do węgla się dobrać.

Ta pożądana chwila oddaliła się jednak znacznie. W dniu zeszłorocznej Barbórki nie wyciągnięto pierwszego kubła lubelskiego węgla, chociaż jeszcze we wrześniu wszystko wskazywało, że tak będzie. Na trzeciej zmianie z pierwszego na drugi października, gdy górnicy znaleźli się na głębokości 576 i pół metra i wiedziano, że pozostało już tylko 9 metrów do liczącej 290 cm warstwy kurzawki, zbędni ludzie wyjechali na powierzchnię. Zjechali natomiast dyrektorzy, inżynierowie z mysłowickiego Przedsiębiorstwa Robót Górniczych oraz z Kombinatu Kopalń Lubelskiego Zagłębia Węglowego. Ślusarz dołowy, a zarazem wiertacz Zbigniew Majsiuk, nie wyjeżdżał tamtej doby z dołu przez trzy kolejne zmiany. Przypomina, że inż. Puchajda, kiedy zjechał, przedstawił jemu i drugiemu, takiemu jak on fachowcowi, Kazimierzowi Belczykowi, szczegółowy harmonogram.

— On nas uprzedził, że jeżeli kurzawka dobrze się nie zamroziła, to jest w niej ciśnienie od 50 do 70 atmosfer. Ja zostałem z Belczykiem sam przy wiertnicy, inni wyjechali, albo weszli do kubłów zawieszonych na wyciągu. Sygnalista czekał, żeby w razie czego dać znak do góry, gdzie z ręką na urządzeniach wyczekiwali maszyniści, aby w tej samej sekundzie nas stamtąd wyciągnąć, wyprzedzić to, co szło by na nas spod ziemi. Przecież 60 atmosfer to jest po prostu, no, wybuch wulkanu. W sekundzie, tego nie można sobie wyobrazić, co by się wtedy działo! Ale to mogłoby się stać, gdyby przedtem nie było dokładnych badań geologicznych. Tylko ja z Belczykiem mieliśmy zbadać, czy te trzy metry kurzawki są dobrze zamrożone, czy nie. Nie były.

Zarówno od Majsiuka, jak i od przodowych Tadeusza Czyżewskiego i Tomasza Winiarskiego, pracujących wtedy na tych samych i następnych zmianach, dowiaduję się o dalszych środkach ostrożności, zasuwie wokół wiertniczej żerdzi, o osadzeniu rury, nakładaniu kołnierza bezpieczeństwa, odpływowych bocznych rurkach z zaworami, wreszcie o zabetonowaniu dna tej wielkiej studni cementowym korkiem grubości dziewięciu metrów. Z pomny cementacyjnej, pod ciśnieniem 120 atmosfer, zbite mleczko cementowe szło i szło. Nie pomogła pierwsza warstwa, leli następną, a dla pewności jeszcze jedną. I tak żywioł nie doszedł w pełni do głosu, musiał się poddać dalszemu ujarzmieniu. Wtedy już tylko lepsze zamrożenie mogło otworzyć drogę w głąb ziemi.

— Moment emocji był, oczywiście — przypomina teraz kierownik szymu „Samsonowicz", Jan Siemek — ale dla nas, górników, nie wyglądało to aż tak niebezpiecznie, jak dla kogoś z zewnątrz. Byliśmy na to przygotowani. Pytanie było tylko jedno: zamroziła się warstwa kurzawki dobrze, czy nie? Możemy przez nią iść dalej bez przeszkód, czy też w tym miejscu staniemy, no i na jak długo? Zgodnie z zasadami górniczymi wprowadziliśmy specjalne zaostrzenia, rygory, bo zbliżała się robota specjalna, nastąpiła koncentracja wśród dozoru i samych górników, było po prostu inaczej niż w normalny dzień, kiedy nie oczekuje się niespodzianek.

Tomasz Winiarski przypomina stan ducha swoich kolegów:

— Nas, prawdziwych szybowców, przyjechało tu z Lubinia może czterdziestu i tak my, podzieleni między innych, pracowali i ciągnęli robotę, uczyli jak iść w głąb ziemi bez nieszczęścia, a szybko. Tylko myśmy zdawali sobie sprawę, co się naprawdę przydarzyło, no i nadzór z Mysłowic. Kto nie miał zielonego pojęcia o kurzawce, a w dodatku nie był z nami na dole i nie widział tego, co tam się pokazało, ten nie zdawał sobie wcale sprawy z powagi tamtej doby. Ziemia tylko do nas przemawiała. Po tych sukcesach, po tych rekordach, było to dla nas ciosem. I dla naszych zwierzchników także.

Tadeusz Czyżewski dopowiada:

— Myśmy szli w tę ziemię i o nas dużo mówiono, pisano, pokazywano. A teraz cisza jest taka i człowiek idzie przez tę łączną i jakby miał się czego wstydzić. Może ci ludzie, co nie znają sprawy, nie znają się na rzeczy, myślą, że ja jestem partacz, że nie potrafię robić jak należy, nie znam się na tym, co jest moim zadaniem?! Potem, kiedy już przejdziemy tę diabelską kurzawkę, inżynierowie i uczeni opracują takie technologie, że wszystko łatwiej pójdzie.

Ten optymizm podzielał również mgr Marian Puchajda, który swoje ostatnie trzy lata życia związał właśnie z Bogdanką. Rozmawiałem z nim w ostatnich minutach, gdy udawał się na urlop, w drogę, z której — kto mógł przypuszczać — nie miał już wrócić. Nagła śmierć przerwała jego pracowite dni na Lubelszczyźnie. Ale on właśnie tak wiele obiecywał sobie po zbliżającym się tegorocznym wrześniu!

— Odkorkujemy dno szybu i znowu pójdziemy w głąb, ale już wtedy ziemia w tej okolicy nie będzie chyba miała więcej tajemnic.

Kamena str. 4

latanerią naszych wrogów, którzy otaczają czcią tylko bohaterów intrygi. Łazowski należał do ludu!

Godne was są te władze, które chcą oddać honory pamięci cnót Łazowskiego. Dajcie przykład reszcie kraju, jak czcić przyjaciół wolności. Nie ma ich wśród bogaczy. Są oni wśród sankiulotów. Bądźcie przekonani, że jakakolwiek byłaby liczba naszych wrogów, my jesteśmy mocniejsi od nich. Po naszej stronie prawda, cnota i lud! (Oklaski).

Reakcją na płomienne wezwanie Robespierre'a były spontaniczne wystąpienia jakobinów żądających uczczenia Łazowskiego. Protokół zebrania mówi: „Mittié, syn, wysuwa wniosek, aby jakiemuś artyście, wybranemu spośród członków Stowarzyszenia, polecić wykonanie popiersia Łazowskiego, które będzie umieszczone obok popiersia Brutusa.

Robespierre proponuje powierzyć członkom zredagowanie pisma do Stowarzyszeń afiliowanych w sprawie nieszczęśliwego wydarzenia, jakim jest śmierć patrioty Łazowskiego.

Propozycja ta, którą popiera Peyre, zostaje przyjęta.

C... — Obywatele! Prochy sankiuloty winny spoczywać w Panteonie. Winny one zająć miejsce, które obecnie profanuje Mirabeau. Wprawdzie nie możemy w tej chwili nakazać przeniesienia prochów do Panteonu, ale winniśmy zachować prochy Łazowskiego, w oczekiwaniu aż przyszły, bardziej prawy od obecnego Konwent uhonoruje tego patriotę.

David proponuje, aby serce Łazowskiego umieścić w kamieniu pod trybuną mówców. Jednocześnie prosi o przyznanie mu funkcji komisarza do zorganizowania pogrzebu Łazowskiego.

Następnie zaproponowano mianowanie komisarzy do zbadania przyczyny śmierci Łazowskiego i do zdania z tego sprawy jakobinom.

Deputacja sekcji Finistère, do której należał Łazowski, a która była obecna na posiedzeniu, domaga się zachowania u siebie serca tego patrioty.

Posiedzenie odroczono na dziesięć godzin.

Lud Paryża pochował Łazowskiego 28 kwietnia na placu Carrousel, skąd przed niespełna rokiem prowadził on atak na Tuileries. Czerwone flagi, symbole rewolucyjne, bicie dzwonów, specjalnie skomponowana muzyka — wywoływały oburzenie przeciw żyrondystom, których obwiniano o śmierć Łazowskiego. W miesiąc po pogrzebie Łazowskiego ci, którzy uczestniczyli w żałobnych uroczystościach, doprowadzili do upadku żyrondy.

* * *

Trzecim męczennikiem Góry jakobińskiej był Marat; zginął 13 lipca 1793 r. od uderzenia sztyletem Charlotty Corday. Jego śmierć wywołała ogromne wrażenie w Paryżu. Sankiuloci żądali pomszczenia wielkiego wodza rewolucji, powszechnie nazywanego „przyjacielem ludu". Sytuacja jednak zmieniła się zasadniczo, przy władzy byli jakobini, natomiast żyrondyści będąc w opozycji organizowali bunty przeciw Konwentowi. W Wandei szalało powstanie, a ponadto realna stała się obca interwencja. W tym momencie jakobini nie chcieli rozniecać emocji ludu, dążyli raczej do jego uspokojenia. Dlatego nocą w milczeniu, przy blasku pochodni i tępym łomocie werbli, przeciągnął ulicami Paryża kondukt żałobny, aby pogrzebać Marata w ogrodach kościoła Cordeliers, gdzie zwykł przemawiać.

W listopadzie 1793 r. David ofiarował Konwentowi swój znany obraz „Śmierć Marata". Był on wielokrotnie reprodukowany, co w niemałym stopniu przyczyniło się do upowszechnienia kultu Marata.

Rewolucyjna kanonizacja Marata była ostatnią tego rodzaju uroczystością. Upadek jakobinów uniemożliwił urządzenie żałobnych manifestacji dla dwu bohaterskich chłopców, którzy ponieśli śmierć w walce z kontrrewolucjonistami. Czternastoletni Józef Bara zginął w Wandei, zaś trzynastoletni Józef Agricola Viala został śmiertelnie raniony w pobliżu Avinionu.

Ostatnią pracą Davida, którą wykonał w czasie jakobińskich rządów, było urządzenie 8 czerwca 1794 r. — niemal w przededniu 9 termidora roku II — uroczystości ku czci Istoty Najwyższej. Uroczystości te miały odmienny charakter w porównaniu z poprzednimi, gdyż inicjowały kult religijny. Robespierre w sławnym przemówieniu wygłoszonym w Konwencie 7 marca 1794 r. nową religią uzasadniał moralność republikańską — podstawowy warunek ustroju sprawiedliwego, twierdząc jednocześnie, że niemoralność prowadzić musi do degeneracji społeczeństwa i despotyzmu. Ustalono wtedy cały system uroczystości ludowych, przeznaczając święta dekadowe — zastępujące niedziele — dla upowszechniania cnót obywatelskich. Natomiast cztery doroczne święta miały upamiętniać główne zdarzenia rewolucyjne: zburzenie Bastylii (14 lipca 1789 r.), upadek monarchii (10 sierpnia 1792 r.), zgilotynowanie króla (2 stycznia 1793 r.), objęcie władzy przez jakobinów (31 maja 1793 r.).

Wprowadzenie obrzędów ku czci Istoty Najwyższej rozpoczął festiwal czerwcowy, mający charakter ceremonii religijnej, apoteozującej miłość ojczyzny i czyniący z tej miłości naczelny imperatyw nowego kultu.

Szybko jednak rozwiało się złudzenie, że religijny kult Najwyższej Istoty umożliwi zbudowanie sprawiedliwego państwa na ziemi. Zdradą i podstępem kontrrewolucja obaliła rząd jakobiński. Był to pamiętny 9 termidora roku II — 27 lipca 1794 r.; wówczas aresztowany Robespierre wypowiedział pamiętne słowa o triumfie bandytów i klęsce Republiki.

* * *

W czasie swych rządów jakobini dokonali olbrzymiego wysiłku w pracy nad przekształceniem świadomości społecznej, czyniąc sztukę orężem propagandy.

Wprowadzając totalną edukację, starali się jakobini oddziaływać zarówno na intelekt, jak i na wyobraźnię, uczucia i emocje ludzkie, przy czym pragnęli swym wychowaniem objąć całe społeczeństwo, a nie tylko młodzież. Masowe manifestacje, o których mówiliśmy poprzednio, były właśnie taką formą wychowania politycznego. Jednakże posługiwano się również prasą, książką, teatrem, korzystając szczególnie z twórczości artystów, aby sztuką przemawiać do uczuć.

Artyści nie pozostali bierni na wezwanie Rewolucji — stanęli po jej stronie, oddając na jej usługi swe talenty, a gdy zaszła potrzeba i życie. Kiedy Zgromadzenie Prawodawcze latem 1792 r. ogłosiło La patrie en danger! — studenci sztuk pięknych pierwsi ochotniczo utworzyli Compagnie des arts, solennie przysięgając bronić do śmierci, zdobytej wolności i równości.

Dzieje życia Davida mówią nam o bezgranicznym zaangażowaniu się tego wielkiego artysty w sprawy Rewolucji. Nie był on jednak wyjątkiem; inni artyści, rozumiejąc doniosłość zdarzeń i społeczną odpowiedzialność, poszli drogą Davida. Ściśle z jakobinami związany był malarz Jean Francais Carteaux, który na polu walki zdobył szlify generała sankiuloty oraz pochwałę Konwentu, że jest bien meritè de la patrie. Obok niego jeszcze pięciu artystów-malarzy doszło do stopnia generalskiego w szeregach armii rewolucyjnej. Wraz z Davidem zasiadali w Konwencie na ławach jakobińskich artyści Sergent i Bouquier. Artyści byli również członkami różnych władz republikańskich, między innymi Trybunału rewolucyjnego oraz Komuny. Ale gdy reakcja obaliła jakobinów, dziesięciu malarzy podzieliło los Robespierre'a ginąc pod ostrzem gilotyny.

Rewolucja, mimo załamania, wyzwoliła wielkie siły w narodzie, który świadomy suwerennej pozycji w państwie zrywał z przeszłością, aby dać początek nowej epoce.

***) Pierwszą część artykułu zamieściliśmy w poprzednim numerze.**

— Ale czy na Barbórkę, tyle że o rok później, rozpalimy na placu kopalni żelaźniak z podbogdanieckim węglem? — pytałem.

— Powinniśmy, tak, można mieć na to nadzieję, chyba że ziemia będzie stawiała dalszy opór, że kurzawka na czas się nie zamrozi. Ale jeżeli ją przejdziemy, po węgiel już tylko sięgnąć.

Nadzieje górników i ich kierownictwa były więc uzasadnione. Przodowy Czyżewski nie chodzi już po Łęcznej z opuszczoną głową. Ukazały się w prasie, w radio i telewizji radosne komunikaty. Mieszkańcy miasteczka, w którym przypadło im na stałe zamieszkać, spoglądają na nich teraz z większą życzliwością, nie odczytuje się w ich twarzach cieni wątpliwości. Czyżewski powiada, że sam nie jest obecnie pewien, czy ta niewiara rzeczywiście u łęcznian była, może sobie to tylko wmawiał? Teraz, kiedy już można całkiem śmiało wdrążać się w ziemię, myśli z minionego roku zastoju łagodnieją. Nie człowiek tu był winien, ale opór żywiołu, który jednak w końcu musiał się poddać, ustąpić ludzkiej myśli i trudowi.

Następca dyrektora Puchajdy, inżynier Zbigniew Stangret, chociaż jest dobrej myśli, postępuje ostrożnie, dzień każdy mierzy kolejnymi metrami i centymetrami, które teraz jego ludzi dzielą od pierwszej warstwy karbonu. Tak, jest pewien, że nic nie może im stanąć już teraz na drodze, skoro minęli tak znacznie kurzawkę, a jej warstwa została przegrodzona od środka szybu silnymi pancerzami tubingów oraz grubą ścianą betonu. W dniu, kiedy rozmawiałem z górnikami — 11 listopada — brakowało jeszcze ponad 90 metrów. — Nie, powiada, nie dojdziemy na nasze górnicze święto, trochę później, ale dojdziemy już na pewno. Kierownik szybu I Jan Siemek zgadza się z szefem, ale równocześnie nie potrafi ukryć tajemniczego uśmiechu, który może potwierdzać nie tylko nadzieje, ale i przekonanie części górników, którzy mówili mi: — A może jednak, może jednak się przebijemy! Gdyby tylko każdego dnia pójść nie o 4 metry ale 4 i pół, to może uda się rozpalić to ognisko z własnego węgla na środku kopalnianego placu i pokropić paru gramami barbórkowe święto? Jan Siemek zwraca moją uwagę na inny aspekt obecnych postępów po poddaniu się kurzawki:

— Nastąpiła psychiczna zmiana u moich ludzi. Oni wiedzą teraz, że się powiedzie na pewno. Wiedzą, że jeżeli dojdą do dziewięćset trzynastego metra, natrafią na karbon, że będą mogli już drążyć boczne komory, a równocześnie iść jeszcze głębiej, do dziewięćset sześćdziesiątego metra, aby sposobić drugi pokład węgla do wybiórki dla górników, no, cieszą się na to, że wnet będą szli przez węgiel. To jest teraz najważniejsze, a nie czy będziemy tydzień wcześniej, czy później. Mamy już 60 proc. ludzi pochodzących z Lubelszczyzny. Jedni zdobyli praktykę na Śląsku, inni pojechali się tam uczyć, wielu zdobywa zawód na miejscu. Nie można przecież wciąż sprowadzać budowniczych z daleka. Ta psychiczna zmiana u starej załogi wpływa teraz dobrze także na nich, zachęca do pozostania, zdobycia kwalifikacji. Nas interesuje wgłębianie się, wybudowanie szybu, oddanie wyrobiska do eksploatacji i chcemy to zrobić dobrze. Ale do węgla lada dzień dojdziemy.

W samych górnikach pragnienie szybkiego dojścia do węgla było i jest wielkie. Aleksander Urbaś mówił mi:

— Jeszcze nie, jeszcze węgla my nie spotkali. Czasem pokazuje się taki kamień czarny i błyszczący. A twardy jaki! Jak się po nim młotem pojedzie, ogień idzie.

Leszek Krzyżanowski dodaje:

— Czasem coś się spotka, coś czarnego. Zaraz człowiek daje innym znaki i pod lepsze światło idzie z tym kamieniem, bo może to już węgiel. Podchodzą wszyscy ci, którzy najbliżej, i przypatrują się temu czarnemu, co w rękach. A potem idzie to dalej, żeby i innym, z drugiej strony naszego podziemnego koła, pokazać. Ale nadsztygar Styczeń czy kierownik Siemek mówią nam, że to tylko krzem. A tu każdy by chciał, żeby to już było, żeby wreszcie nadeszła ta chwila, tylko czekamy, żeby do węgla się dobrać.

Tadeusz Jasiński

ALEKSANDER ALEKSY 1905-1977

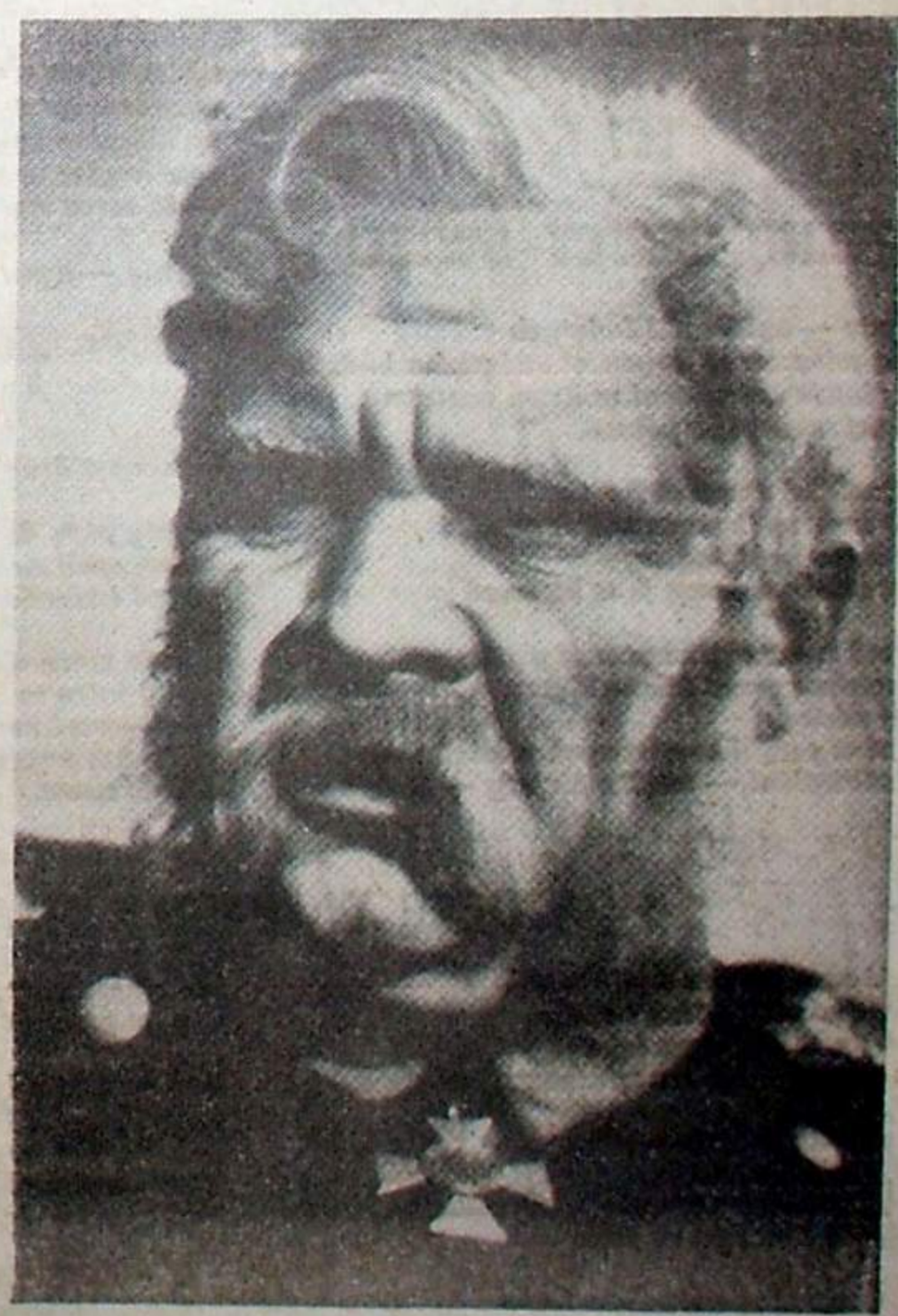

W listopadzie br. zmarł w Lublinie Aleksander Aleksy aktor Teatru im. J. Osterwy, zasłużony artysta scen polskich

MATYLDA WEŁNA

NA TYŁACH

Nie mogę was zostawić nie mogę
w brzydkich kinach piwiarniach dworcach
niby łącznik biegam od szpicy do głównych sił
jednych przynaglam drugim mówię spocznij

wasze nieobjęte tłumy z wieczności przydroża
miłosierny Samarytanin
zabieram na swego jucznego osła
dla skrzepienia członków dla obmycia ran
jak oleje Bogu poezję przyniosłam

kiedy utrudzeni zostajecie w tyle
w komforcie grzęznąc sytym na wysoki połysk
podaję wam mej zwrotki miłujący rym i rytm
wiersz kładką rzucam na wezbrane wody

nie mogę was zostawić nie mogę
na plażach na mityngach w zatłoczonych dokach
ja wam dzioby obmywam na przystankach pekaes
i szepcę kryjomie: nie dajcie się zostawiać
przyspieszajcie kroku

WIECZÓR MŁODYCH POETÓW

Zmierzch góra granatowego mięsa
łopuch gapia wparł w żelazne kraty

z gałązki ścian nachyla kielich ośmioboczny
znamion tłuste aniołki przymrużają oczki
tragiczny los poety w gablotach zawarty
w pylnikach — w sercach dojrzeją owoce

przyszli — gromada liczna — bardzo młodzi
zawsze tak hałaśliwi dziś milczące dzieci
krzesła wciąż nie zajęte sala pustką świeci
nie tak jak na uznanych mistrzach
tłum się kiepsko schodzi

wiersze — inowacje — manifesty schizmy
zdania okaleczone myśl skryta głęboko
poraniona — błądzi — gruntuje
krwawi mowy udręczonej otok
szukałam na ich twarzach obrazu ojczyzny

KIEDY TAŃCZYŁY WIEŻOWCE

Ziemio zdrożona karawano przestworzy
wstrząsasz się niby juczne zwierzę cięte przez bąki
luby twardy grzbiet pod jeźdźcami drży
jak skorupki jajek chrzęszczą nasze domy

kiedy tańczyły wieżowce na tej samej krze
od Wiednia Bosforu po Warszawę Białystok
któż zaprzeczyć może któż zaprzeczyć śmie
żeśmy muszki-skamlyl otrząsane z pyska

w gruz marzenia pasje horyzonty
czuję się zburzona do fundamentów
to w Bukareszcie wylecieli tym razem z siodła
a we mnie kości połamane do imentu

zdumienie groza bezsens w okamgnieniu
zsypem bezimiennych milionów pali rana
pojęłam straszny ból kompostu dziejów
milczę nie płaczę a przecież jestem tak spłakana
3 III 77

HENRYK MAKARSKI

MY WIELKOMIEJSCY ŚWIĘCI

matki nasze — opiekunki świętych
nakręcają wieczorem swych obowiązków budzik
który w głowie im dzwoni w dzień następny
od czwartej rano aż po północ.

rąk mają więcej matki ciche
i włosów srebrnych coraz bliżej ziemi
czytają głośno krótkie listy
i razem z chlebem noszą je w kieszeni

tylko przed snem matka patrzy w górę
dłonie zaciska i przed ścianą klęczy
na której wisimy
oprawieni w ramki zmęczonych westchnień
my — zadowoleni — wielkomiejscy — święci

OJCIEC I SYN

ojciec kijem wylicza winy urojone
wytrząsając stwardniałych ziaren krople
na klepisko ogłuchłe od snopkowych kolęd
ręce kryjąc w kieszeniach wołam:
— to serca wątłe klaszczą ojcze zgodnym na ziemi
pokotem
— nie — synu — to śpiewają dzwony na trwodze

TREN - WOŁANIE

ręko ojca drabino młodości przystawiona do mojej
twarzy
sękaty pniu domowy stwardniały drogowskazie
wstań spod ziemi i bądź jak zawsze
ponad śmiechem milczeniem i płaczem

ziemio szara nie bądź tak zachłanna
oddaj jutro to co wczoraj zabrałaś
jeżeli jesteś naszą matką
jeżeli nią jesteś
ziemio szara

WRÓCĘ W CZTERY ŚCIANY

na starość oczy szkłem wyblakną
odgarniesz od nich późne światło
w uszach wyrośnie szara łąka
szumem cmentarnym roztętniona

słodycz powietrza mnie opuści
serce za gardło ściśnie pazurami
mózg się zamroczy klinem chmur wieczornych
i rak zazgrzyta nożycami bólu

i radość wody przepadnie bez śladu
gdzieś pycha ognia zaginie bez wieści

nadzieja ziemi też zwiędnie powoli
i tylko groza rośnie coraz gęściej

być może wtedy wrócę w cztery ściany
domu dzieciństwa — do matki — do pracy
i z potem spłynie trucizna milczenia
jak deszcz bezdomny po psach zeszłorocznych

Wiersze nagrodzone w VIII Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Jana Śpiewaka.
O samym konkursie — w następnym numerze

CRACOVIANA

Najlepsi w świat!

Brunon Rajca

NIE wiem, czy podróże kształcą, czy nie kształcą. Naczelny redaktor „Życia Literackiego", Władysław Machejek, nieustannie wojażuje. Trudno nawet zorientować się — czytając jego organ — w którym aktualnie kraju przebywa, bo korespondencje pochodzą z różnych stron świata, a on podejmuje akurat w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką" przedstawicieli włoskiej prasy periodycznej — Unione Stampa Periodica Italiana. Na spotkaniu tym Wielki Mistrz Kapituły Gastronomików Rzymskich, red. Franco Selvaggi udekorował Jana Kalkowskiego, autora „Jednego dania" w „Przekroju" — medalem „Signoria delle Terre del Lazio" zachwycając się polską kuchnią. Nikt go oczywiście z błędu nie wyprowadzał, a przeciwnie. Należymy przecież do narodów, dla których grzeczności słowo schlebiania cudzoziemców — te oficjalne — dodają otuchy i wprawiają w nastrój zamówielbienia.

Mnóstwo twórców z Krakowa — i nie tylko twórców — wyjeżdża za granicę, a po powrocie wszyscy przechwalają się odniesionymi w obcych krajach sukcesami. Nie zdarzyło mi się jeszcze — a trochę już lat przeżyłem na tym padole — przeczytać, że gdzieś, komuś się nie powiodło, że tego czy innego publiczność wygwizdała. Każdy występ polskiego artysty — w Paryżu, Londynie, Nowym Jorku to triumf!

Trzech młodych krakowian — Janusz Chmiel, Andrzej Mokrzycki i Włodzimierz Wolak —przez czternaście miesięcy podróżowało po świecie, nie wiadomo po co, dwoma samochodami fiat 126p, by powiedzieć reporterowi „Expressu Wieczornego", że największym ich osiągnięciem na trasie było pokonanie — bez większego trudu — najwyższego wzniesienia Serro de la Muerte w Kostaryce. No, proszę. Konieczna jest reklama fiata 126p gdzieś w Hondurasie! Trzej śmiałkowie, przez kogoś tak protegowani, są dumni prawie jak Sobiesław Zasada, który już szykuje się do nowego maratonu, z Londynu do Buenos Aires.

Tak więc moi ziomkowie-podróżni-cy odnoszą same sukcesy. Państwowa Filharmonia im. K. Szymanowskiego pod dyrekcją Jerzego Katlewicza zachwyciła Finów, co potwierdza towarzyszący zespołowi prezydent miasta Krakowa, Jerzy Pękala. Teatr Stary pod dyrekcją Jana Pawła Gawlika przebywał w NRD i zaszokował Niemców. Teatr „Cricot — 2" pod dyrekcją Tadeusza Kantora przebywał we Francji. Michel Guy — były minister kultury — stwierdził: „Tadeusz Kantor odkrył nowy wymiar teatru współczesnego". Nawet Ewa Demarczyk, która śpiewa coraz marniej, zafascynowała Kubańczyków. Mój znajomy tubista, Eugeniusz Kania, który ledwo dmuchał w trąbę w orkiestrze Polskiego Radia i Telewizji w Krakowie, pojechał do Teheranu, by dorobić sobie trochę grosza i donosi mi z Opera House, że jest tam najlepszy. Tylko się cieszyć, cieszyć, cieszyć!

Na razie nie słychać, żeby reżyser Krzysztof Jasiński, twórca Teatru STU, znów wybierał się do Meksyku, więc przynajmniej on zatroszczył się o tubylców. Mamy okazję oglądać — Warszawa też miała — „Szaloną lokomotywę", musical oparty na motywach utworów Stanisława Ignacego Witkiewicza. Mnóstwo efektownych niespodzianek, jak zwykle w teatrze Krzysztofa Jasińskiego, realizatora wielkich widowisk pod Wawelem, organizowanych z okazji święta „Gazety Południowej" i nie tylko. Ma trzy dzieci pięć lat, nosi sumiaste wąsy. Inteligentny, bluskotliwy, skromny. Twórca wrażliwy i ambitny — zaproście go kiedyś do Lublina! Ta „Szalona lokomotywa" — nie wiadomo czym jest: kabaretem, cyrkiem, operetką? Nieważne. Istotne, że się ludzie śmieją i bawią. Tytułowe partie: Marek Grechuta i Maryla Rodowicz, choć teraz zastąpi ją z powodzeniem Teresa Iwaniszewska, bo Maryla Rodowicz pojechała podbijać znów Stany Zjednoczone.

Ludzie muszą jeździć, choć ja nie wiem czy podróże kształcą, czy nie kształcą. Należałoby zapytać o to wybitnego satyryka Jerzego Wittlina, na którego napadł jakiś kryminalista w hotelu w RFN, ale na szczęście nie uprowadził!

P.S. Największym wydarzeniem „Zaduszek Jazzowych" — XXII Krakowskiego Festiwalu Jazzowego — były koncerty słynnego amerykańskiego Big-Bandu Duke Ellingtona, który po śmierci mistrza prowadzi jego syn — Mercer Ellington. Legendarny zespół zachwycił krakowian. Nawet tych, którzy nie podróżują po szerokim świecie.

Mój festiwal przyjaźni (2)

W KATOWICACH

Maria Bechczyc-Rudnicka

IZNÓW muszę odwrócić w mym festiwalu przyjaźni kolejność „percepcyjną", przybliżając w czasie to, co było bliższe w przestrzeni, zanim bowiem opowiem o spektaklach widzianych podczas październikowego pobytu w Leningradzie i Moskwie, chcę podzielić się na gorąco pewnymi wrażeniami z VIII (listopadowego) Ogólnopolskiego Festiwalu Dramaturgii Rosyjskiej i Radzieckiej w Katowicach. Bogaty program tego jubileuszowego festiwalu został szeroko spopularyzowany przez prasę codzienną, co do mnie, mogłam oglądać prezentacje katowickie dopiero od półmetka, a skoro nie jestem więc w stanie ogarnąć całości, pozwolę sobie ograniczyć się do omówienia tego, co zaangażowało mnie najbardziej, intelektualnie i emocjonalnie.

Otóż mój pierwszy katowicki dzień festiwalowy obdarzył mnie od razu przyjemnymi wrażeniami. Zaczęło się już przed południem od nader miłego, kameralnego spotkania Klubu Krytyki Teatralnej z autorem licznych sztuk i scenariuszy filmowych, Aleksandrem Sztejnem, któremu rozgłos przyniosły zwłaszcza sztuki: „Sąd honoru", „Hotel Astoria", „Ocean", „Sprawa personalna" tudzież komedia „Wiosenne skrzypki". Znakomity dramaturg radziecki Aleksander Sztejn jest przystojnym panem, ujmującym w obcowaniu z rozmówcami tą wytworną prostotą, jaka cechuje przeważnie bardzo wybitnych pisarzy starszego pokolenia. Gawęda (bo tak to można określić) toczyła się głównie wokół najnowszych dzieł Sztejna, trylogii o Wsiewołodzie Wiszniewskim („W niewoli czasu"), Borysie Ławreniewie („Śpiewające piaski"), no i przede wszystkim o „Wersji" czyli „Opowieści scenicznej o Aleksandrze Błoku", na której spektaklu autor miał być obecny tegoż wieczora.

Po smakowitym obiedzie w katowickiej *Tatianie* — dalsze DOBRZE: oglądam wraz z kolegami krytykami w lokalu BWA — świetną imprezę „towarzyszącą", firmowaną przez Małą Scenę Teatru Śląskiego im. St. Wyspiańskiego: „Mister Buffo" („W.W. Majakowski") Michała Rosińskiego w reżyserii autora. Rzecz to zaiste frapująca. Michał Rosiński, aktor katowickiego teatru, skomponował swoje widowisko z wierszy Majakowskiego i innych jego tekstów, wykorzystując przy tym ocalałe podobizny poety oraz wszelkie charakteryzujące go wiadomości. Za punkt wyjścia posłużyła wystawa „20 lat pracy", którą Majakowski zorganizował w styczniu 1930 roku w Moskwie, przy ulicy Worowskiego, w Domu Literatów. „Urządzał tę wystawę sam, sam siebie kolekcjonując" — powie wnikliwy badacz twórczości Majakowskiego, Wiktor Szkłowski (cytuję z programu). Właśnie w tym czasie był już napisany słynny poemat „Pełnym głosem", ostatnie sformułowanie creda Włodzimierza Majakowskiego i podsumowanie jego dzieła poetyckiego, związanego nierozerwalnie z czynem społeczno-politycznym. Wystawa miała więc charakter dokumentalno-dowodowy i, sądzę, dydaktyczny, z adresem do współczesnych poetów radzieckich, bo weźmy choćby ten passus poematu:

Towarzysze potomni,
posłuchajcie —
oto
agitator
wiecowy pyskacz —
zagłuszywszy
poezji potok,
przesadzę krokiem
liryk tomiska,
jak żywy
z żywym rozmawiając z bliska.

(Przekład A. Ważyka)

Ale poeci na wystawę nie przyszli. W widowisku Michała Rosińskiego przyszedł tylko Bezymienski (gra go Piotr Chudziński). Poza nim interlokutorami Majakowskiego są tu: Towarzyszka Kolcowa, przewodnicząca posiedzenia jubileuszowego (Małgorzata Peczyńska), Krytyk (Roman Michalski w „Trzech siostrach" katowickiego teatru — Solony), Redaktor (Janusz Dziubiński), Towarzysz (sam Michał Rosiński). Bezgłośnie obecna jest nadto Protokolantka (Leokadia Starke). Wszyscy oni doskonale spełniają swe zadania. Drugoplanowe. Bo zdumiewająco wierne odtworzenie przez autora postaci Majakowskiego czyni z owego widowiska *quasi* monodram. Czesław Stopka w roli Majakowskiego daje interpretację nad wyraz ciekawą i atrakcyjną. Jaka olbrzymia skala środków wyrazu w mimice, geście, ruchu, intonacji! Cóż za wirtuozowsko szybkie przejścia od szczerej wesołości do pełnego jadu szyderstwa, od dobrodusznej ironii do gniewnej pasji, od triumfalnego przypływu energii do depresji i znów od zgnębienia do patosu...

Efektowi widowiska sprzyja specyficzna okoliczność: akcja toczy się na tle części autentycznej wystawy „Włodzimierz Majakowski — życie i twórczość", pokazywanej w Polsce w pięćdziesiątą rocznicę odwiedzenia przez Majakowskiego Warszawy. Scenograf widowiska „Mister Buffo" (Jerzy Pitera) miał więc wdzięczne zadanie, wystarczyło bowiem ustawić w odpowiednim miejscu zwykły stół „posiedzeniowy", dodając stolik dla Protokolantki i niedużyby biały postument, na którym Majakowski postawi od czasu do czasu stopę, a w pewnym momencie stanie wyprostowany monumentalnie. Oczywiście jest też kilka rzędów krzeseł dla „audytorium". Aktorzy nadchodzą stopniowo niczym w „Protokole pewnego zebrania", ale są w stałym kontakcie z widzami według znanych kanonów „teatru wspólnoty", bez przejawiającej się jednak w nim niekiedy sztuczności.

Między wystawą w BWA „Włodzimierz Majakowski" a widowiskiem „Mister Buffo" zachodzi sprzężenie zwrotne, bo spektakl M. Rosińskiego, którego rangę wystawa podnosi, ze swej strony jest niewątpliwym bodźcem do pilniejszego zwiedzania wystawy. Osobiście spędziłam na niej dnia następnego ponad dwie godziny i stało się to jednym z najgłębszych moich przeżyć w czasie omawianego festiwalu. Toteż należy się jej osobne, choć zwięzłe, słowo.

Wystawę zorganizowano pod auspicjami Ministerstwa Kultury ZSRR i Ministerstwa Kultury i Sztuki PRL, przy współpracy Państwowego Muzeum Literatury w Moskwie i Muzeum Sztuki w Łodzi (któremu to zawdzięczamy wspaniały katalog, bogato ilustrowany). Eksponaty, scenariusz oraz podstawowe materiały katalogowe nadesłane zostały przez P. Muzeum Literatury w Moskwie. Jest tu kilka rękopisów Majakowskiego, są pierwsze wydania utworów, choćby dla przykładu — „Ja!", Moskwa 1913 (litografowane wydanie autora); są zbiory literackie i gazety, w których zamieszczone były utwory Majakowskiego. Wśród zbiorów dostrzegłam wspólny tom wierszy Majakowskiego, Chlebnikowa i Burluka pt. *Triebnik troich* („Brewiarz trzech"), Moskwa 1913, dobrze mi znany, ponieważ jeden jego egzemplarz trafił do księgozbioru mego męża, Edwarda Wrockiego.

Dużo ekspresji dodają wystawie liczne fotografie Majakowskiego, osobiste i grupowe ze wszystkich okresów jego życia. Szczególna uwaga zwraca się ku zdjęciom związanym z próbami sztuk poety w teatrze Meyerholda. Ciekawość budzą tzw. Okna satyry ROSTA (Rosyjska Agencja Telegraficzna), plakaty polityczne łączące nowatorsko wiersz — hasło z rysunkiem — znakiem. Albo taki litografowany autorski zbiór czastuszek politycznych (z r. 1919), przeznaczony dla żołnierzy rewolucji — „Radzieckie abecadło", z którego wybrano na ekspozycję kilka „kawałków" cenzuralnych. Bardzo wymowne są afisze wystąpień publicznych Majakowskiego, częstokroć zapowiadające, że będzie odpowiadał na pytania (*ready wit* poety w tych odpowiedziach znakomicie uwydatnia spektakl Rosińskiego). Spośród afiszy teatralnych ogromne wrażenie zrobił na mnie duży afisz z r. 1913 anonsujący pierwszą w świecie prezentację teatru futurystów — w Teatrze Luna-Park (były teatr Komissarżewskiej), z programem: I. „Włodzimierz Majakowski". Tragedia w 2 aktach z epilogiem i prologiem, wyreżyserowana przez autora i II. „Zwycięstwo nad słońcem". Opera w 2 aktach A. Kruczonych, wyreżyserowana również przez autora. Nie mniej frapują miłośnika teatru afisze „Misterium — Buffo" w Teatrze Dramatu Muzycznego (reżyseria W. Meyerhold. Scenografia K. Malewicz. Piotrogród 1918) tudzież afisz „Pluskwy" (Teatr Meyerholda. Moskwa 1929) i „Łaźni" (Teatr Meyerholda. Moskwa 1930). Zachwycają przepiękne projekty dekoracji i kostiumów opracowane przez samego Majakowskiego do „Misterium — Buffo". Itd. itd. Słowem, owa wystawa — to Majakowski żywy, zarazem wcielenie wielkiej, burzliwej, heroicznej epoki.

Pierwszego wieczoru w Katowicach odbierałam emocjonalnie po raz drugi spektakl „Wersji — opowieści scenicznej o Aleksandrze Błoku" Sztejna, w przekładzie Romana Szydłowskiego, w odkrywczej inscenizacji Kazimierza Brauna, ze scenografią Jadwigi Czarnockiej, z muzyką Rafała Augustyna. Tej pozycji festiwalowej powinnam była właściwie dać pierwszeństwo w czasie, skoro jeździłam już na przedstawienie prapremierowe do Teatru Współczesnego we Wrocławiu, w dniu 8 października.

„Opowieść sceniczna o Aleksandrze Błoku" — to rzecz o nadwrażliwym poecie, który znalazłszy się w obliczu przełomu dziejowego, boi się nade wszystko „nie dostrzec za październikowymi grymasami październikowej wielkości". A jak daleko zaszedł na swej drodze do rewolucji Aleksander Błok (czy inny twórca lub po prostu inteligent dobrej woli) — mówią w sztuce Sztejna słowa, po których poeta zamyka oczy na zawsze: *Wierzyć nie w to, czego nie ma na świecie, lecz w to, co powinno być, choćby nawet teraz tego nie było i długo jeszcze nie będzie. Ale życie odda nam to, ponieważ ono jest — PRZEPIĘKNE.*

I jeszcze: *Lekką stopą nadśnieżystą przez perliste rozsypiska, w wieńcu białych róż na skroni, przodem — idzie Jezus Chrystus.*

Dlaczego? DLACZEGO?

Dlatego, że droga „Dwunastu" to droga przez mękę.

Aleksander Sztejn użył w „Wersji" nowej faktury pisarskiej. Ukazuje on Błoka począwszy od beztroskich lat młodzieńczych aż do momentu zgonu, lecz postać poety jawi się nam jakby surrealistycznie, w otoczeniu innych postaci już to wizyjnych, już to ze snu. Poprzez dialogi poszczególnych sekwencji, nie uporządkowanych chronologicznie, dochodzą do nas pewne fakty z realnego życiorysu Aleksandra Błoka: np. powołanie go w maju 1917 roku na naczelnego redaktora literackiego protokołów prac Nadzwyczajnej Komisji Śledczej ustanowionej przez Rząd Tymczasowy do przesłuchiwania byłych ministrów rządu carskiego i dygnitarzy osadzonych w Twierdzy Pietropawłowskiej (v. wstęp A. Galisa do „Ostatnich dni caratu" Aleksandra Błoka). A znowu ze sceny z Meyerholdem dowiadujemy się, że 25 marca r. 1918 przystąpił Błok do pracy w sekcji repertuarowej wydziału teatralnego Ludowego Komisariatu Oświaty, 24 zaś kwietnia 1919 r. mianowany został przewodniczącym zarządu byłego teatru suworinskiego (przecie „rampa jest linią ognia").

Korzystając z zastosowanej przez autora licencji chronologicznej, Kazimierz Braun rozpoczyna spektakl od części sceny finalnej — „Śmierć poety". Tym samym śmierć przestaje być momentem zakończenia dzieła wielkiego człowieka, dając raczej asumpt do analizy jego działalności, z perspektywą wybiegającą w przyszłość. Do swobody operowania czasem dodał inscenizator swobodne traktowanie przestrzeni, umożliwione oryginalnym wyzyskaniem sceny i widowni.

Wygląda to w przybliżeniu tak: widzów (ogółem 80) posadzono na scenie w dwóch „blokach" pod kątem prostym, pozostawiając między bokami kąta jedno z przejść (dwa inne zostały zaplanowane po obu stronach pudła scenicznego, przed proscenium, oddzielonym wraz z widownią od sceny białą przezroczystą kurtyną z zamarkowanymi na niej oknami (owe okna wydają mi się szczegółem psującym efekt przy podnoszeniu kurtyny). Nie trudno się zorientować, że znaleźliśmy się na wstępie w gabinecie Błoka, bo oto jego biurko, zarzucone papierami w nieładzie. Atoli w dalszej akcji, toczącej się bez żadnych zawieszeń, bez zaciemnień, następuje swoiste przenikanie: świat Zinaidy (Gipius-Mereżkowskiej) wślizguje się do świata Błoka. Praktycznie służy temu choćby stary fortepian w kąciku przy białej kurtynie z oknami. Tu się śpiewa tęskne *romanse* rosyjskie. Ale kiedy indziej Zinaida wejdzie swobodnie i zasiądzie w „fotelu Błoka", jakby u siebie w domu. Albo tenże gabinet zastąpi lokal, w którym urzęduje znakomity reżyser Meyerhold w charakterze komisarza teatrów Rosji, snując myśli o bezpłatnym udostępnieniu widowisk teatralnych wszystkim ludziom pracy.

Dyspozycja miejsca do grania w „Wersji" wrocławskiego Teatru Współczesnego umożliwia znakomicie połączenie w jednej inscenizacji teatru kameralnego z „teatrem ogromnym". Tak się dzieje np. gdy podniesie się przezroczysta kurtyna dla sceny wspaniałego pochodu „Dwunastu", z czerwonym sztandarem — na widownię, albo dla sceny burzliwego wieczoru autorskiego Aleksandra Błoka.

Do najpiękniejszych scen należy też pokazany na proscenium, po podniesieniu kurtyny, ślub Luby Mendzielejew z Aleksandrem (taktownie zamarkowany obrzęd prawosławny przed stylizowanym *ikonostasem*, z towarzyszeniem przejmującego śpiewu chóralnego).

W sumie — spektakl poetycki, fascynujący.

Grają (dobrze): Jerzy Schejbal (Aleksander Błok), Halina Rasiakówna (Luba), Marlena Miliw (Zinaida), Maria Zbyszewska (Matka), Daniel Kustosik (Andrzej Biełyj), Eugeniusz Kujawski (Włodzimierz Majakowski), Grażyna Krukówna-Frymar (Olga), Zbigniew Górski (Wsiewołod Meyerhold), Wiktor Grotowicz (Postać z Ancien Régime'u), Stanisław Jaskułka (Trzynasty), Teresa Sawicka i Wanda Sikora (Aktorki, Kobiety), oraz: Bolesław Abart, Andrzej Bielski, Bogusław Kierc Zdzisław Kuźniar, Paweł Nowisz, Bogusław Parchimowicz, Edwin Petrykat, Medard Piewacki, Zdzisław Sośnierz, Winicjusz Więckowski, Jan Biecki, Maciej Korwin (DWUNASTU).

Z przeszło 100 sztuk rosyjskich i radzieckich wystawionych w Polsce dla uczczenia 60-lecia Rewolucji Październikowej pokazano w Katowicach 10. Ponieważ nie byłam na wielkiej imprezie katowickiej od początku, ominęło mnie pięć przedstawień, bardzo chwalonych przez krytykę. Z pięciu sztuk zaprogramowanych na drugą połowę omówiłam obszernie jedną (plus „Mister Buffo", imprezę towarzyszącą). Pozostałym czterem, które odniosły także duży sukces u katowickiej publiczności, należałyby się również szczegółowe omówienia. Niestety, nie jest to możliwe w jednym odcinku. Uprzedzałam na wstępie, że ograniczę się do własnego, indywidualnego wyboru — „pod dyktandem serca", co nie znaczy, bym nie dostrzegała niezaprzeczalnych walorów innych pozycji. Przede wszystkim zaprezentowanej przez Teatr im. Wilama Horzycy w Toruniu „Matki" Gorkiego, w przeniesionej z moskiewskiego Teatru na Tagance słynnej inscenizacji Jurija Lubimowa i Borysa Głagolina, w reżyserii Głagolina i Marka Okopińskiego, ze scenografią Dawida Borowskiego (ZSRR) i muzyką Jurija Bucko (ZSRR) — spektaklu, o którym zresztą będę jeszcze miała okazję wspomnieć w relacji z podróży do Leningradu i Moskwy. Z dużą satysfakcją myślę też o znakomitej kreacji Tadeusza Łomnickiego (Batarcew) w „Protokole pewnego zebrania" Gelmana — przedstawieniu warszawskiego Teatru na Woli, znacznie bardziej „uteatralnionym (prawdopodobnie ze względu na widownię wolską) niż „Protokół..." widziany przeze mnie w Rydzie lub Łodzi. Podziwiałam poza tym mistrzowskie aktorstwo Ireny Kwiatkowskiej i Mariusza Dmochowskiego w przyjemnie bezkonfliktowej „Staroświeckiej komedii", szczególnie popularnego u nas Aleksego Arbuzowa. I wreszcie wzruszyła mnie do głębi „Największa świętość" mołdawskiego dramaturga Iona Druce, zawierająca nieprzeciętny ładunek humanizmu. Do sukcesu tej sztuki, która miała szczęście dostać się na scenę warszawskiego Teatru Współczesnego, przyczynił się zwłaszcza Henryk Borowski, odtwarzając piękną postać pasterza, Kelina.

Cóż więc można powiedzieć w zakończeniu oprócz truizmu, że Ogólnopolski Festiwal Dramaturgii Rosyjskiej i Radzieckiej w Katowicach jest imprezą szczęśliwie pomyślaną i świetnie realizowaną.

Wyznanie star

JANUSZ blednąc coraz bardziej, czytał listy adresowane do Krzysztofa. Jeden był od stryja wojewody, drugi zaś od ochmistrza Piaseckiego. Skończywszy czytanie, zmiął listy i rzucił je w kąt, mrucząc ze złością:

— Tego się mogłem po stryju spodziewać! Obyś się w piekielnej smole wiecznie smażył!

Chećko, który siedział w kącie komnaty z grobową miną, wpatrując się w płonące pod kominkiem grube szczapy, poruszył się i podniósł listy.

— Ciśnij to w ogień! — rozkazał Janusz.

— Nie radziłbym tego czynić — odparł mnich, wygładzając zmięte arkusze i zabierając się do czytania.

— Rób, com ci rozkazał! — warknął Janusz.

— Obyś tego rychło pożałować nie musiał!

Spełniając życzenie Janusza, mnich wrzucił jednak w ogień tylko koperty, same zaś listy zręcznie ukrył w rękawie habitu. Po chwili jasny płomień strawił papier.

Janusz ku łożu się ruszył, a rzuciwszy się na nie, w ponure się zaraz myśli pogrążył. Twarz jego pokrywało ogromne wzburzenie, pomieszane z bólem, jaki cierpiał z powodu rany odniesionej w dłoń, zadanej mu pałaszem przez nieznanego człowieka, który swoim nagłym pojawieniem się przy bramie staromiejskiej uratował od niechybnej śmierci Krzysztofa.

Zabierając owe listy Krzysztofowi, łudził się nadzieją, iż znajdzie w nich odpowiedź, gdzie ukryty został sam testament stryja. Niestety rozczarował się tylko. Listy nic o tym nie wspominały.

Zdał sobie doskonale sprawę, że po dwóch nieudanych próbach zgładzenia kuzyna w obawie, by przy kolejnej samemu nie zostać zdemaskowanym, musiał, tu w Warszawie, zaniechać tego sposobu pozbycia się niewygodnego konkurenta do schedy. Rozumiał też, iż owo nocne zdarzenie, którego on był sprawcą wespół ze swoimi ludźmi, nie przejdzie tu w stolicy, niemal pod bokiem majestatu królewskiego, bez echa. Nie wątpił, że już jutro znajdzie się ono na ustach wielu mieszczan warszawskich, a może i dworzan królewskich. Kto wie, czy nie stanie się tematem salonów pańskich, nie wykluczone też, że się obije o uszy dostojników królewskich takich, jak marszałek koronny, który z samego obowiązku może wydać polecenie tajnej policji, by wykryła sprawców napadu na Krzysztofa. Tym samym osoba samego Krzysztofa, do dziś jeszcze nikomu w stolicy nieznana, może stać się nagle popularna w sferach dworskich Z pewnością zaczną się snuć różne domysły co do sprawcy napaści...

Kiedy o tym wszystkim myślał, poczęła go ogarniać coraz większa złość na Chećkę. Tak, to on jest wszystkiemu winien! Muszę mu to rzec prosto w oczy.

— Słuchaj, ty gruby wieprzu! — zaczął z pasją, zrywając się z łoża. — Dość mi twoich rad i ciebie samego! Gdybym czynił, jak mi własny rozum nakazywał, byłbym dziś panem całej fortuny. A słuchając ciebie, do czegom doszedł? Jeno do zatracenia wszystkiego, com przez lata przy sobie zgromadził i do tego, że mnie byle kiep ciął pałaszem przez rękę. Bodaj bym cię nigdy na swej drodze nie spotkał!

— Oto mi zapłata za wszystek mój trud dla ciebie uczyniony! — odparł z wyrzutem Chećko — Za moją poczciwość i wierną służbę czarną niewdzięcznością płacisz. Dalibóg sam nie wiem, co mnie opętało, żem ci swoją duszę jako Lucyperowi zaprzedał.

— Zamilcz! — syknął z wściekłością Janusz — Wziąłeś ode mnie dukatów, co się dało!

— Sam sobie zamilcz! Cóżem od ciebie wziął? Boś mi nawet z tych przyobiecanych tysiąców dukatów i klejnotów do tej pory nic nie dał! Wielki mi pan, co sam goły, jak piskorz się kręci i gotów oskubać rodzoną familię, byle do majętności dojść!

— Niechaj już, abym w delirium nie wpadł i nie wyciął ci gębę!

— A wpadnij sobie. Wolno tobie do mojej duszy jadu wlewać i deptać ją baczmagami brudnymi, to i mnie wolno ci prawdę w oczy sypnąć!

Janusz zacisnął zęby i milczał, tłamsząc w sobie złość do Chećki. Powoli gniew w nim stygł, przeraził się też nagle, że mnich może oczywiście spełnić groźbę i odejść, więc rzekł pojednawczo:

— Tośmy ze sobą kwita... A co do tego, żem cię do tej pory nie nagrodził za poświęcenie i usługi wielkie, to prawdą jest, ale com przyrzekł i na pergaminie własną ręką spisał, to wszystko, klnę się na honor mój, akuratnie ci dam. Niech jeno schedę odbiorę. No, nie bądź krzyw na mnie i daj mi swoją rękę na zgodę.

Ale Chećko ociągał się dość długo, mrucząc coś pod nosem niechętnie, wreszcie przemógł się i wysunął z szerokiego rękawa habitu tłustą jak pulchny racuch dłoń, którą Janusz pochwycił w swoją lewą, prawą bowiem miał opatrzoną bandażami.

— Ale mi więcej do oczu tak nie skacz — rzekł mnich — bo klnę się na Boga, że cię ostawię!

— Nie ostawisz, Checuniu! Nie ostawisz, bo ci żal będzie Tereskę utracić... A gładziuchna to panienka, ho! ho! Jako róża najpiękniejsza! Nie jeden się tam możny kawaler koło niej kręci. Ale nie dla psa kapłon zacny! Weźmiesz pannę, a o piątą część schedy...

Był to moment przełomowy w ich częstych swarach i kłótniach gorących, które niemal co dzień z lada powodu wybuchały i niezmiennie po scenach niezgody następowały chwile pojednania. Chećko, choć naburmuszony jeszcze, rzekł już spokojnie:

— Widzisz, ty byś chciał raptusem: szast prast rzecz załatwić. A jak coś się plącze, pieklisz się i dawaj na mnie wszystko zwalać. A ja ci rzeknę to, że jeśli chcesz doskonałości kupić funt, musisz wpierw dać dwa swojej cierpliwości.

— Dość mi cierpliwości i czekania. Już nie widzę inszej rady, jak nie zwlekając wziąć ochmistrza na męki. Niech pies jeden przemówi, gdzie skrył testament.

Nagle mnich rażony doskonałym pomysłem zaśmiał się, po czym rzekł:

— Hej, dobra nasza! Przecież on mnie, stary lis, do tej pory ni razu na oczy nie oglądał, bom porywając go Zemłami się jedno posłużył. Zawsze to powtarzam, iż człowiek rozumny powinien być przygotowany in utrumque paratus [1].

— Co ci jest? O czym ty gadasz?

— Mam koncept przedni, którym, za co szyję dam sobie uciąć, opór ochmistrza przełamię.

— Znów konceptami sypiesz? Niech cię licho! In arena aedificas [2].

— Sam obaczysz, jeno mnie tam do niego ze sobą weź. Jedno mi przyrzec musisz, że się przed nim nie zdradzisz, żeśmy ze sobą w komitywie.

— Czemu nie chcesz gadać, coś wedle niego zamierzył?

— Obyś całej sprawy nie zapeszył... Czekaj, jaki to dziś dzień mamy?

— Północ już pewnie minęła, więc sobota.

— To lepiej nie trzeba. Sobota to szczęśliwy dzień dla wszelkich poczynań. Cezar, Scypion, czy sam Aleksander Wielki jeno w soboty największe wiktoryje odnosili.

— Czyżbyś na wojnę się wybierał?

— Dziś będziemy wiedzieli, gdzie ochmistrz ukrył testament!

— Nie dałbym złamanego szeląga na powodzenie tej twojej nowej sztuczki. Przeto wolę mieć wszystko gotowe do tego, com zamierzył. Gdzie te niedorajdy Zemłowie?

— Sameś ich sprzed klasztoru kijem przepędził, to się pewnie i wynieśli.

— Zbóje, pokraki... Niech się w godzinę na kwaterze nie stawią, to ich ze skóry obedrę!

— Jesteśmy tu, wasza miłość! — rozległy się ciche głosy zza drzwi.

— A juchy jedne. Bywajcie tu, co żywo!

Zemłowie, przepychając jeden drugiego, wpadli do komnaty i stanęli pokornie z opuszczonymi głowami, mnąc w rękach lisem pokryte kołpaki.

— Kareta niech pod bramę zaraz zajedzie! Dojnicę, węgli i słomy wziąć, jak też żelaza sposobne...

Zemłowie, którzy wróciwszy dużo wcześniej, posłyszeli całą rozmowę swego pana z Chećką, pojęli co się szykuje, więc raz dwa sypnęli się spełnić rozkaz.

Tymczasem Chećko w drugiej izbie się zamknął i tam na osobności listy pisane do Krzysztofa przez wojewodę i ochmistrza czytać uważnie począł, zastanawiając się, jak je najskuteczniej wykorzystać. Po pół godzinie miał już cały misterny plan w głowie. „Kpem się dam nazwać — rzekł uśmiechając się szatańsko sam do siebie i zacierając ręce — jeśli tego starego wróbla nie wezmę na plewy".

Swit już wstawał, gdy kareta zajechała przed ganek niewielkiego dworku, który tonął w zieleni na wpół zdziczałego sadu, porośniętego gąszczem dzikiego wina i bzów. Był to dom sekretarza Tumły, który mieścił się na przedmieściu Warszawy, przy gościńcu wybiegającym w kierunku Zakroczymia. Dom stał pustką, gdyż sekretarz, wszedłszy w niecne konszachty z Januszem, wyprawił żonę z dziećmi do rodziny mieszkającej na wsi.

Otworzyły się grube dębowe drzwi i na próg wysunął się chudy pachołek, brudny, z twarzą pokrytą gęsto pryszczami, na której malował się wyraz bezgranicznej tępoty. Ujrzawszy Janusza, począł się on kłaniać, zginając kark aż ku ziemi.

— Gadaj, co z więźniem?

— Pewnie, jaśnie wielmożny panie, już rychło dojdzie.

— Jakże to?

— A bo nie jedząc, Bogu ducha oddać musi.

— Jeść nie chce?

— A nie. Bez trzy dni ledwie co z jadła tknął, tom mu od wczora przestał całkiem nosić, bo i po co?

— Ach, ty durniu! — rozzłościł się Janusz — To tak spełniasz moje rozkazy? Kazałem ci jeść mu dwa razy dziennie dawać, toś winien dawać! Batogami ci skórę wygarbować każę!

Posłyszawszy groźbę, pachołek rzucił się do nóg Janusza, błagając, by mu wybaczył. Tymczasem Chećko, stanąwszy tuż przy Januszu, rzekł mu z cicha:

— Ostaw, Januszku, pachołka. Może i lepiej się stało, bo przez to stary zmiękł.

Janusz butem odtrącił płaszczącego się sługę i wszedł pierwszy do na wpół mrocznego domu. Zostawiwszy Zemłów w izbie, na żądanie Chećki zszedł z nim po schodkach wiodących do mrocznej piwnicy: drogę im oświetlał kagankiem pachołek. Zaskrzypiała ciężka zasuwa i niebawem wszyscy trzej wkroczyli do niewielkiego loszku, z małym zakratowanym okienkiem, umieszczonym tuż nad ziemią, z którego się sączyła bladość dnia. Cuchnęło w nim zgniłą kapustą i nadmierną wilgocią. Od kamiennych ścian, pełnych szpar, w których licznie gnieździło się wszelkie robactwo i pająki, i od gołej ziemi, chłód bił tęgi.

W kącie, na kupce brudnych szmat, leżał człowiek ze skutymi łańcuchem nogami i z żelazną obrożą na chudej szyi. Jego włosy były białe jak mleko. Pachołek zbliżył się z kagankiem i oświetlił jeńca, który leżał zwrócony twarzą do ściany.

— Hej, stary, rusz się, kiej jaśnie pan przyszedł! — rzucił pachołek nogą trącając leżącego.

Ale pan Piasecki zdawał się być obojętny na owo wezwanie. Wówczas ozwał się sam Janusz.

— Cóż to, panie ochmistrzu, śpisz, czyś może ciężko zachorzał?

Stary człowiek i teraz nie odezwał się, więc Janusz kazał pachołkowi odwrócić go twarzą do środka celi, opierając plecami o ścianę, co zostało skwapliwie spełnione. Po czym odprawił pachołka. Stary ochmistrz wychudzony straszliwie i tak osłabły, że ledwie mógł usiedzieć pod ścianą, jakiś czas spoglądał z pogardą na stojących przed nim ludzi.

— Czego ode mnie żądacie? — spytał z cicha.

— Pomówić z tobą — odezwał się Janusz — Wszak wiesz, że tu o życie twoje chodzi.

— Moje życie do Boga należy, więc jemu je poleciłem. A tobie za gwałt na mnie uczyniony, sąd przeznaczon, utrata majętności i poczciwości ipso iure et facto. [3] Jest na szczęście jegomość król, pan mój, jest też w Rzeczypospolitej prawo świeckie, które głosi: kto szlachcica gwałtem porwał, karan być musi winą stu dwudziestu grzywien i jednym rokiem wieży, pro poena publica [4], a nadto ma tyle dwoje siedzieć, jak długo w więzieniu trzymał. Na to już żeś sobie zasłużył. A zechcesz mnie życia pozbawić, czyń to co rychlej, bo mi ono obojętne, kiedym stary już... Ale drogo ci przyjdzie za nie zapłacić, bo jakimże to prawem mianowałeś się moim sędzią i katem? Koniec końcem, i ipso facto [5] gardłem karan będziesz, et poena infamiae [6].

Janusz przybladł, już już miał wezwać Zemłów, którzy z narzędziami tortur czekali na górze, ale się wstrzymał, przypomniawszy sobie słowo, które dał Chećce, że mu najpierw jeńca zostawi. Rzekł więc:

— Ty mnie, ochmistrzu, prawem nie strasz. Co mi tam sądy trybunalskie, czy choćby sejmowe! Wiesz dobrze przecie, com uczynił z tymi, co mi sądowe membrany z Przemyśla przywieźli? A chcieli mnie przemocą brać i wieźć do Lwowa, by w wieży Cebrowskiego sadzać, tom trochę pachołków poszczerbił i kilku panów braci szlachciców, że się aż do samego króla jegomości odwoływać musieli. I tego pewnie nie zapomniałeś, kiedyś to ze stryjem wojewodą w wyprawie na mnie pod zamek krysiczyński przybył, by mnie z rozkazu królewskiego pojmać i pokarać. Sam wtedy od stryja do mnie posłowałeś.

— O, to dobrze pamiętam. Przyrzekłeś, że się panu moiemu, wojewodzie, w ręce oddasz, aleś honoru nie mając, słowa danego nie dotrzymał, jenoś w strachu po kryjomu zbieżał, i to tak akuratnie, że cię na próżno szukano.

Janusz spurpurowiał na policzkach od gniewu.

— Pofolguj, panie Piasecki, w sł
przed stryjem ze strachu uciekać,
mogłem. Jeno przez szacunek dla
pokrewieństwa, nie godziło mi się
uszedł, to primo, żem nie zwyczaj
komu oddawać, a sekundo, że mn
kniaź Samuel Korecki do siebie wz
po to tu przybył, bym miał przed
zdawać. Ot, prosił mnie książę Zb
wojskiem stoi, bym pozwolił dopuś
nego. Nie wiem, co za sprawę do c
nie chciał.

Gdy to mówił, pan ochmistrz zw
ku owemu człowiekowi, który stał
Janusza. Zakonnik wysunął się troch

— Nie wiem, kim jesteś człeku,
rzekł ochmistrz — ale wiadoma to
kiem trzyma, ten nie Bogu, jeno szat

— Nie osądzaj mnie, panie, poch
nikim ja nie trzymam, bom ślub
Bogu i kościołowi katolickiemu. A
od wczora — tu Chećko wzrok zim
nusza, co miało sprawić, iżby star
Nie moja to rzecz rozsądzić czyny
wszakże, com tu zmiarkował, wid

kretarz, wszedłszy w niecne konszachty z Januszem, wyprawił żonę z dziećmi do rodziny mieszkającej na wsi.

puszczono, za co ten, kto zawinił
boskim musi.

— Pierwej go sprawiedliwość
mocą starzec.

— Rób mnichu swoje, a nie, to
złość Janusz.

— Proszę cię, panie byś pachoł
obym z nim mógł w cztery oczy
zwrócił się do Janusza.

— Czy nie za wiele, mnichu, ode

— Uczyń tak, panie, o co cię pr
niczego przeciw tobie nie uczynię.

— Niech będzie! — Janusz ud

Zaraz po tym zjawił się strażnik
kuł jeńca, po czym wyszedł zawar
ręce przed sobą i szeptał przez ch
znak krzyża nad głową nieszczęsne

— Pytałeś mnie, starcze, kim je
zwą mnie ojcem Tomaszem. A p
skórski. Z Krakowa przybyłem od
czego koronnego.

— Pojąć mi trudno, z jaką sp
przyszedłeś? I skąd wieści miałeś,

— Bądź cierpliwy, panie. Byłe
ważną misję zakonną spełniał. Tan
ki, Bethlen Gabor, przed oblicze
do Krakowa jechać z listem do ks
duków dziesięciu dla ochrony p
żęce. Ciężka to była droga, bo
wiodła, gdzie zbójców i sabatów
Aleśmy w tydzień jakoś pod gra
tarli.

Stanąwszy kwaterą w gospodzie,
nowiłem dać koniom i ludziom za
marz Czech widząc, żem osobą d
iż ma u siebie ciężko rannego czł
cy napadli i okrutnie pałaszami po
prowadzić, biorąc z sobą balsamy
jące.

Był to młodzieniec może dwudzi
iż zrazu widać było, że ledwie si
balsamów z nim zaczynać, jeno od
go olejami świętymi namaściwszy

Pan Piasecki począł drżeć na ci
nąć.

— Mów, ojcze, kim był ten mło
rzec.

— Rzekł mi, że zowie się Krzyszt

— Boże, Boże! A jednak to pra
biony osunął się na ziemię.

Mnich pochylił się nad nim i u
szywszy głos szeptał mu w ucho.

— Opanuj się, starcze, bo żyw

Pan Piasecki odzyskał siły i odpa

— Niech Bóg wielebnemu ojcu n
wszystko!

— Otóż wyspowiadawszy go, w
które nie mając wielkiej nadziei
trzeba było chleb z pajęczyną ugn
zszedł dzień jeden i drugi. Ranny
świcie jakby nawet poczuł się le
mowę się ze mną wdał, i choć n
przecie opowiedział mi wiele o sob
od chwili, gdy Collegium w Graz
grasanci opadli.

— Nieszczęsny on, nie wie nawet
nił — wtrącił ochmistrz — Bo ni
okrutni nasłani przez onego nikcz
na, Janusza.

— Mów ciszej panie, bo nas ktoś
może, co by na złe przeciw tobie
dowiedzieli, że Krzysztof żyw.

Nagle ochmistrz zdał sobie spra
mu do tej pory, w jaki sposób u
uwięzieniu. A może to jest tylko p
człek w habicie zakonnym został
nie podstawiony, by wyciągnąć o
został testament?

— Powiedz mi, ojcze, skąd wieś
zion? — spytał.

...ego człowieka

Ryszard Jegorow

słowach, bo łżesz! Anim myślał
ać, którego gdybym chciał, pobić
a jego wieku, urzędu i bliskiego
się tego czynić. A żem z zamku
zajn samemu się w niewolę ni-
mni w ważnych sprawach sam
wzywał. Ale dość o tym, bom nie
d tobą rachunek za czyny swoje
Zbaraski, który pod Krakowem z
uści do ciebie onego ojca zakon-
ci mieć może, bo mi tego rzec

twrócił głowę i spojrzał uważnie
ł. nieco w cieniu zasłonięty przez
chędo przodu.
, który suknie zakonne nosisz —
o rzecz, że kto ze złym człowie-
atakowi służy.
chownie, skoro mnie nie znasz. Z
bow służyć wiernie jeno Panu
A tego waszmości znam ledwie
mny i obojętny skierował na Ja-
rze dał wiarę jego słowom. —
m ści pana Krysickiego. Z tego
dz że gwałtu się na tobie do-

odpokutować ciężko na sądzie

ie ska dosięgnie! — odparł z

cię precz wygnać każę! — udał

ko rozkuć więźnia rozkazał i
ę stać — z tymi słowy C.:ecko

mnie żądasz?
sz Przysiągłem ci na krzyż, że

mając niechęć opuścił loch.
spełniając żądanie mnicha roz-
szyza sobą drzwi. Mnich złożył
wił modlitwę, po czym uczynił
o starca i rzekł:
ten? Otóż braciszkowie zakonni
o familii nazwisko moje Biało-
ks ęcia Zbaraskiego, pana kraj-

aw do mnie wasza wielebność
em u uwięzion?
a w Siedmiogrodzie, gdziem
mnie sam książę Siedmiogrodz-
swoje kazał wezwać i polecił
ęc Zbaraskiego. Dano mi haj-
zed hultajstwem i glejty ksią-
śr gór wielkich i wąwozów
niemało się wszelkich włóczy.
ic z Czechami w zdrowiu do-

o milę ledwie od Polski, posta-
łu ny wypoczynek, i tu karcz-
uch wną, rzekł mi w zaufaniu,
wi ka, którego na trakcie zbój-
sie ki. Kazałem się do niego za-
i ała różne wszelkie rany go-

st letni z obliczem tak bladym,
w nim życie tli, i że nie od
ład mu ostatnią przysługę. Więc
sprawiadać się wziąłem...
ie, oczy jego zdawały się pło-

dzi niec? — nie wytrzymał sta-

of Krysicki!
wd — zawołał starzec i osła-

nosząc go pod ramiona, przyci-

jeś, choć okrutnie pobity.
ł:
ag dzi za to. Mów, niech wiem

zia m się jego rany obejrzeć,
m ściami opatrzyłem, a gdzie
o ty, także je obłożyłem. Tak
, ż ciągle i trzeciego dnią o
iej bo jadła zażądał i w roz-
u jeszcze nie łatwym było,
ie o tym, co mu się zdarzyło
e puścił, aż do czasu, gdy go

. k na jego życie zamach czy-
e grasanci to byli, jedno zbóje
em tego łotra, rodzonego kuzy-

za drzwiami będąc, podsłuchać
i mnie się obróciło, gdyby się

wę że mnich nie odpowiedział
da mu się dowiedzieć o jego
od kp ze strony Janusza, a ów
prz tego nikczemnika specjal-
d tego zeznanie, gdzie ukryty

ć mnie miałeś, żem tu uwię-

— Przyznaję, że nie łatwo mi to przyszło. Owóż, słuchaj, co dalej było! Jakom już mówił, owa karczma przy samej granicy stała. Spieszno mi było z listami Bethlenowymi do Krakowa jechać, bo w nich jakoweś ważne dla księcia sprawy być miały, alem nie chciał rannego samego ostawić, bojąc się, że łotrowie mogą go w karczmie najść. Tedy po pięciu dniach, gdym już się upewnił, że młodzieniec żyw będzie, kazałem hajdukom z miękkich futer i materii kolebkę sporządzić, którą między dwa bachmaty przywiązać. Co, gdy uczynione zostało, z wielką ostrożnością do onej kolebki Krzysztofa ułożywszy, ze sobą go wziąłem. W dwa dni później jadąc wolno dobiliśmy do pałacu księcia Zbaraskiego pana krajczego koronnego, który czekał już na list z Siedmiogrodu.

Wielce musiał być korzystny ów list Bethlenowy dla księcia, bo rzekł mi: „Mów, czego żądasz za usługę, którą mi oddałeś". „Nijakiej ja nagrody nie oczekuję, jeno proszę, byś książę kazał swojemu medykowi opieką otoczyć onego nieszczęsnego młodzieńca, by do zdrowia mógł szybko wrócić". Książę sam poszedł rannego obejrzeć, a dowiedziawszy się, kim jest rzekł: „Znałem twego ojca, Krzysztofie, i zmarłego stryja, z którym w przyjaźni wielkiej zostawaliśmy, więc uczynię wszystko dla ciebie, byś zdrowie odzyskał i majętność po wojewodzie mógł przejąć". Zaraz też sługom swoim kazał osobną komnatę przysposobić, by tam Krzysztofa umieścić. Medyków też aż trzech sprowadził, by wspólnie uradzili, jakim sposobem szybko młodzieńca uzdrowić. Jam się wówczas szykował do Warszawy jechać, bom miał sprawy zakonne z przeorem klasztoru Dominikanów omówić. Poszedłem się też z panem Krzysztofem pożegnać, a on mi ze łzami w oczach dziękuje za to, com dla niego uczynił, obiecując wynagrodzić mój trud. A kiedym nawet słuchać o nagrodzie nie chciał, rzekł: „Niech jeno sukcesję przejmę, zaraz po dwakroć tysiąc dukatów na dobro zakonu Dominikanów zapiszę". A później prosił mnie, bym będąc w Warszawie zechciał ciebie panie odszukać i powiedzieć ci, co się z nim zdarzyło, prosząc być do Krakowa do niego co rychło przybył.

— Toś w złą porę mnie, ojcze, odnalazł — odparł chłodno pan ochmistrz, który nadal nie pozbył się podejrzeń co do osoby mnicha.

— Wybacz, ojcze wielebny, nie chciałbym cię urazić, ale dziwne mi się zdaje to, że pan Krzysztof nie dał ci znaku jakowegoś dla mnie, bym się mógł upewnić, żeś od niego przybył.

Mnich nagle uderzył się ręką w czoło i uśmiechnąwszy się rzekł:

— Ach, mogłem się tego spodziewać! Cóż, nie mam ci ja znaków żadnych od niego, pierścienia czy pontału rodowego, bo to wszystko, co miał Krzysztof przy sobie, opryszkowie zdążyli mu zrabować. Ostały mu się jeno dwa listy, które miał dobrze ukryte w kaftanie podróżnym — tu mnich sięgnął za pazuchę wyjmując pomięty nieco list. — A oto jeden z nich. Zdaje się, że to pismo, którem od niego otrzymał, nieobce ci będzie — to rzekłszy wręczył list ochmistrzowi, który przysunąwszy się bliżej ku światłu latarni zajrzał w pergamin, a poznawszy swoje pismo, począł zaraz usprawiedliwiać się:

— Przebacz mi, ojcze wielebny, ale po tym, com tu w niewoli strasznej będąc przeżył, ostrożnym się stać musiałem. Pewnie się domyśliłeś, czemu się na mnie gwałtu dopuszczono.

— Tak, wszystkom pojął już wtedy dokładnie, gdym od waści, panie ochmistrzu, siostry usłyszał, żeś dwie niedziele temu nagle przepadł.

— A więc byłeś, ojcze, u niej? — tu oczy starca rozbłysły — I cóż ona, nieszczęsna? Pewnie zastałeś ją strapioną?

— Prawda, przez ten czas ledwie od zmysłów nie odeszła. Alem ją pocieszył, że jeśli waść żyjesz, to cię odnajdę i być może uwolnię.

— Płonne to, ojcze, nadzieje, bo mi mój gnębiciel śmierć zapisał jeśli mu nie wyznam, gdziem testament pana swego wojewody skrył. Co gdybym nawet uczynił, na gorsze by dla mnie wyszło, bo wiadomo, że on nie zawaha się wedrzeć do pałacu i owe testimonium [7] woli zmarłego skraść, po czym mnie samego zabić, bom treść pergaminu jako świadek poznał. Z dwojga złego lepsze dla mnie, żebym milczał, bo tym panu Krzysztofowi się przysłużę i dłużej przy życiu ostanę.

— Zaiste jest to arcyłotr, który chyba z samym diabłem w komitywie zostaje! Przeto zaklinam cię, panie, w imieniu samego Krzysztofa, któremu straszliwą krzywdę ten zły człek chce wyrządzić, milcz! Boję się jeno, że się ten bezecnik na najgorsze wobec ciebie, starcze, ważyć zechce.

— Co masz na myśli, wielebny mnichu?

— Jadąc tu jego karetą, widziałem, jak pachołkowie żelaza i inne instrumenta tortur ze sobą zabrali.

— Niech co chcą ze mną czynią, jam gotów na wszystko — odparł z rezygnacją stary ochmistrz — Tyle ci przyrzec mogę, że tajemnicy ze mnie nie wydrą!

— Niech cię, starcze, dobry Bóg ma w swej opiece! Bo jak pismo święte głosi: „Kto w dobrym zwycięży, odziedziczy wszystko i będę mu Bogiem, a on mi będzie synem. Lecz gdy przyjdzie dies irae [8] niewiernym i mężobójcom i wszetecznikom i wszystkim kłamcom część im dana, będzie w jeziorze gorejącym ogniem i siarką". Te Deum laudamus!

— Te Deum laudamus! — powtórzył drżącymi usty pan ochmistrz żegnając się znakiem krzyża.

— A teraz winienem ci wyznać, jakimże to trafem wyszło, żem jeszcze z Krakowa nie ruszając miał pewne o Januszu wiadomości.

— Mów, ojcze...

— Tego wieczoru, gdym Krzysztofa pożegnał, szykując się o świcie w drogę ruszyć, pan krajczy mnie na wieczerzę zaprosił i gdyśmy byli na osobności rzekł mi: „Nie chciałeś, ojcze, ode mnie nagrody, przeto choć rady mojej zechciej dobrej posłuchać. Mniemam, żeś nie tylko z miłosierdzia jako duszpasterz życie onego młodzieńca, Krzysztofa, ratował, ale też z poczciwości zacnej serca własnego. Mam ja domysł, który oby się prawdziwym rychło nie okazał. Nie wiem, czy słyszałeś, iż fortuna wojewody Krysickiego wielu setek tysięcy dukatów sięga. Zważ, iż do schedy po zmarłym nie jeden jeno Krzysztof pretenduje, lecz są jeszcze inni familianci wojewody. Słyszałem ja osobiście dużo o jednym z nich, okrutnie zuchwałym, który jest drugim bratankiem wojewody. Zwie się Janusz. Nie wierzę, by okrutnik ten pogodził się z myślą, że mu z ogromnego majątku nic nie przypadło. Znając go wiem, że nie zawaha się przed niczym. Jeśli to prawda, że świętej pamięci wojewoda spadkobiercą wszystkiego uczynił jednego Krzysztofa, z tego miarkuję, że to nie zwykli grasanci go przed granicą opadli i posiekli, jeno sam Janusz ze swymi hajdukami!

— Jako Bóg na niebie, tak być musiało! — potwierdził ochmistrz.

— Oc'', czemuż mnie pan Krzysztof nie usłuchał, kiedym go w tym oto liście przestrzegał, by w drogę samotnie nie ruszał.

— Rzekłem księciu, że mnie, osobie duchownej, nie godzi się do spraw świeckich wtrącać, które władzy sejmowej czy trybunalskiej podlegają. A on mi na to: „Mylisz się, boś ratując Krzysztofa od śmierci, srogo się naraził Januszowi, którego się od tej pory strzec pilnie powinieneś". „Jakże to?" — pytam. A on mi: „Bo człek to podstępny i mściwy i lepiej uczynisz z oczu mu z daleka schodząc".

— Słusznie cię pan krajczy, ojcze, ostrzegł. A tyś miast go unikać jak złego ducha, sam mu jeszcze w ręce szedłeś!

— Widzisz, panie ochmistrzu, nie takim ja, bym się dał byle komu „w kaszy zjeść". Nim suknie zakonne przywdziałem, przez dziesięć z górą lat w rycerskim stanie będąc, służbę w chorągwi pancernej przy samym hetmanie wielkim Stanisławie Żółkiewskim pełniłem. Bywało się w niejednej ciężkiej opresji. Toniem się nie tylko orężem sprawnie władać nauczył, ale i fortelów różnych przeciw nieprzyjaciołom zażywać. Cóż, postanowiłem niech sobie będzie diabolus z Janusza przecie mu z drogi schodzić nie myślę. O świcie, gdym się do wyjazdu gotował, wezwał mnie raz jeszcze pan krajczy i list mi dał do kniazia Samuela Koreckiego, który u króla akurat w gościnie miał być. Przyjechawszy do Warszawy, spełniając prośbę Krzysztofa pierwej żem do waścinej siostry się udał, o czym już wiesz... a później odnalazłem kniazia, który na ten czas w pałacu pana podskarbiego z całym swoim dworem stanął. Kniaź mnie za stołem posadził, bo trafiłem akurat na ucztę, w której wielu znacznych panów szlachty było. I tu, panie ochmistrzu, zdumienie mnie ogarnęło, gdym pośród nich ujrzał człowieka, który mi z oblicza Krzysztofa bardzo przypominał, jeno wydał mi się od niego starszy nieco i w oczach jakiś inny.

— To był sam Janusz! — podpowiedział starzec.

— Tak. Alem się chciał w tym upewnić, więc w chwili sposobnej zacząłem kniaziowi opowiadać o swojej podróży z Siedmiogrodu i na koniec o strasznym zdarzeniu z Krzysztofem.

— Ach, czemużeś to, ojcze, uczynił? — spytał zatrwożony ochmistrz. — Tym samym wyrok na siebie i na Krzysztofa wydałeś, na którego on nie omieszka teraz po raz drugi się zasadzić.

— Mylisz się starcze, jeśli sądzisz, żem całą prawdę rzekł. Bądź cierpliwy, bo wiesz, iż nemo sapiens nisi patiens [9]. Tylem powiedział, że Krzysztof żyw był jeszcze, kiedym go w karczmie znalazł, jeno w parę godzin po tym, na rękach moich Boga ducha oddał.

— Toś najlepiej uczynił!

— Ledwiem to wyrzekł, jak wszyscy panowie poczęli spoglądać na owego człowieka, który istotnie był Januszem. Ten szepnął coś do ucha kniaziowi i zaraz do mnie przypadł mówiąc: „Chodź ze mną, mnichu, bo sprawę do cię mam!" „A kimże ty, panie, jesteś?" — pytam. „Krzysztof był mi stryjecznym bratem!" „Tedy chodźmy".

— Czegoż on jeszcze mógł chcieć od ciebie, ojcze? — nie mogąc się opanować spytał ochmistrz.

— Pierwsze, to kazał sobie jeszcze powtórzyć wszystko, co już powiedziałem. Osobliwie chciał wiedzieć, co Krzysztof rzekł o tych, którzy napaści nań dokonali. Twierdził, że wiedzieć to musi, bo śmierć brata pomścić powinien. Zaraz stało się mi jasne, że on chciał się upewnić, czy go Krzysztof o zamach nie podejrzewał. Kiedy mu powiedziałem, że to byli pospolici hultaje i grabieżcy, wtedy się uspokoił. Później prosił, bym mu ze szczegółami miejsce określił, gdziem ciało Krzysztofa pogrześć kazał. A na sam koniec zażądał, bym mu oddał wszystkie dokumenta, którem przy zmarłym znalazł.

— A łotr jeden, a podlec! Pewnie sobie obiecywał zniszczyć wszelkie pergamina, któreby mogły być świadectwem, przeciw niemu, przy nowym podziale schedy, do czego dojść by musiało po śmierci głównego sukcesora.

— Nie inaczej sobie miarkował. Ale mu się jego długa broda jeszcze bardziej wydłużyła, gdym mu powiedział, że żadnych papierów przy nieboszczyku nie było. Wtedy mi rzekł: „Słuchaj mnichu. Skoro twierdzisz, żeś przy śmierci Krzysztofa był, to pewnie możesz powtórzyć to każdemu, kogo to interesować może". „A mogą" — rzekłem. „To dobrze. Jest tu człek jeden, były ochmistrz stryja naszego świętej pamięci wojewody, który knując jakieś niecne zamysły, ukrył testament swego pana. Spodziewać się można, że się ów człek jakichś znacznych nadużyć dopuścił, które ujawnione by zostały, gdyby testament się odnalazł". „Tak być może" — odparłem. „Otóż z tej to przyczyny obawiając się, by gdzieś nie zbiegł wsadziłem onego do lochu i pod strażą trzymam". „He, wybacz mi, panie, ale nie pochwalam ja takiego procederu, bo on, jak mniemam, szlachcicem jest" — mówię. „Jest, albo i nie jest, to za jedno, bo tu o sprawiedliwość i znaczny majątek chodzi". „Czego więc chcesz ode mnie?" — pytam. „Jedź ze mną do niego i powtórz to, coś księdzu i mnie powiedział, a ja ci to wynagrodzę". „Uczynię to bez nijakiej nagrody". Ot i to wszystko starcze.

— Niech ci Bóg wynagrodzi twoje poświęcenie — rzekł ochmistrz ze łzami w oczach.

W tej chwili na schodach, wiodących do lochu, rozległy się ciężkie kroki. Pan ochmistrz zrozumiał, że za moment wejdą do tej celi oprawcy z Januszem na czele i wielkie krople potu wystąpiły mu na czoło. Począł nagle drżeć cały i szeptać szybko:

— Słuchaj mnie uważnie, ojcze. Nie wiem, czy dziś jeszcze życie moje nie zgaśnie. Przeto cię proszę, rzeknij panu Krzysztofowi, że membrama ukryta została w izbie wielkiej czerwonej, gdzie jest ósm obrazów w złoconych ramach, a z pułapu zwiesza się pająk na łańcuchach złotych przez gdańskich złotników zrobiony z olbrzymimi pięciu rogami, przedstawiającymi meluzynę. W jednym z nich znajdziesz pergamin.

— Hej tam, dość tego! — wrzasnął Janusz wpadając do celi wraz z hajdukami. — Wyłaź mnichu! A mówiłem, że szkoda twojej mitręgi!

— Jesteś w błędzie, Januszku! — odparł mnich i roześmiał się głośno prosto w twarz więźnia, aż zadudniały grube mury lochu. — Ten stary głupiec wszystko mi właśnie wyśpiewał! Będziemy nareszcie mieli testament w rękach. Jest w komnacie czerwonej.

Dalsze jego słowa zagłuszone zostały sztrasznym krzykiem starca, który obłędnym wzrokiem patrzył na mnicha i powtarzał:

— Bądź przeklęty łotrze!... Bądź przeklęty łotrze!... Bądź przeklęty.

— [1]) Na wszelką ewentualność, [2]) budujesz na piasku, [3]) na mocy prawa, [4]) dla dobra społecznego, [5]) w tym samym, [6]) i utratą czci, [7]) świadectwo, [8]) dzień sądu, [9]) nie jest mądry, kto nie jest cierpliwy.

Fragment powieści historycznej z czasów panowania króla Zygmunta III Wazy pt. „Prawem kaduka" przygotowywanej do druku przez Wydawnictwo Lubelskie.

MAŁY FIAT DUŻE SPRAWY

Dokończenie ze str. 1

kooperanci mają obiektywne trudności. I tak dalej.

Tedy wyrósł nam nowy dysponent prasy, który zajmuje się dystrybucją i sterowaniem informacji dla dziennikarzy — Fabryka Samochodów Małolitrażowych w Bielsku Białej — zapominając o Uchwale Biura Politycznego z 22 lutego 1977 roku, gdzie między innymi napisano: „Instytucje, które są źródłem informacji dla prasy, radia i telewizji (kierownicy resortów i instytucji, rzecznicy prasowi), powinni w kontaktach z przedstawicielami prasy udzielać im informacji aktualnych, odpowiadających rzeczywistemu stanowi rzeczy, bez przemilczania trudności i niedociągnięć, gdyż tylko taka informacja jest warunkiem skutecznej propagandy". Nie słyszałem, żeby FSM miała stanowić wyjątek w tym względzie.

Tymczasem w bielskiej dyrekcji ustawiono mnie, iż wtedy jestem rzecznikiem interesu społecznego (czyli uprawiam skuteczną propagandę), gdy reprezentuję wobec czytelnika wspaniałości i ogromy FSM. Jeśli natomiast chciałbym wobec FSM reprezentować interesy i problemy tysięcy użytkowników fiata 126p, wówczas staję się rzecznikiem zgniłej prywaty! Ale powiedzmy, że chwilowo „kupiłem".

Fabryka jest gigantem. Obejmuje dziesięć zakładów produkcyjnych (nowych i zmodernizowanych — w tym kuźnie, odlewnie, tłocznie blach), zlokalizowanych w siedmiu miastach i dwu sąsiadujących województwach (bielsko-białskim oraz katowickim). Ma także własny zakład transportowy, remontowo-budowlany, trzy zespoły szkół. Opiekuje się 50 kilometrami dróg. Jest największym w rejonie przedsiębiorstwem hotelarsko-gastronomicznym — 11 tysięcy miejsc w hotelach robotniczych, pełne wyżywienie dla 7 tysięcy osób. Zatrudniała w 1976 roku 33 tysiące pracowników i 5 tysięcy uczniów. W produkcję „malucha" zaangażowanych jest osiem resortów i 76 firm kooperujących, a przecież jeszcze w FSM robią syrenę, ponadto ubocznie: obrabiarki (Bielsko-Biała), ciągniki i wózki paszowe (Skoczów), rowery (Czechowice), kosy, maczety (tak!) i brzytwy (Wapienica), FSM to jedyny w kraju producent zaworów do silników spalinowych, wytwarza odkuwki i odlewy dla całego przemysłu motoryzacyjnego PRL, ponadto elementy oświetlenia i armaturę drzwiową dla samochodów łada. Wartość produkcji godzinnej FSM — ponad 10 milionów złotych!

Byłby do napisania interesujący artykuł, jak się zarządza takim kolosem w warunkach gospodarki socjalistycznej. Od Edmunda Czerbaka dowiedziałem się na samym początku, zanim zdążyłem o cokolwiek spytać, że FSM to nie jest federacja zakładów, lecz organiczna, zsynchronizowana w obrębie jednolitej technologii całość produkcyjna, pomimo iż dyrekcja w bielsko-bialskim, a największy zakład montażu samochodów w katowickim (Tychy). Ale dalej ani mrumru.

Gdybym chciał się bawić w złośliwości, mógłbym tego rodzaju „spontaniczną" informację rozszyfrować na odwyrtkę, wnioskując, że owa monumentalna jednolitość FSM nie przedstawia się aż tak wspaniale. Bądź co bądź, w sąsiednim województwie, niemal za płotem bielskiej dyrekcji i zakładu nr 1, powiadają: „Naszo tysko ef-ez-ym"... Lecz rozwikłanie krzyżówki partykularyzmów fabrycznych z partykularyzmami wojewódzkimi przerasta moje siły. A zapewne aktualnych i przyszłych użytkowników samochodu zbytnio to nie interesuje.

31 lipca 1973 roku przekazano pierwszą partię „maluchów" na rynek (200 sztuk). Produkcja rosła wielkimi skokami. W 1974 roku — 10 007 sztuk; 1975 — 31 527; 1976 — 81 629; w 1977 roku przewiduje się 145 000 sztuk, z czego około 30 000 na eksport. (Te liczby oraz parę innych konkretów rzucił mi, aczkolwiek niezbyt entuzjastycznie, Zbigniew Raczyński, młody asystent dyrektora naczelnego, w rozmowie pod nieprzewidzianą nieobecność kierownika biura dyrektora naczelnego; z samym dyrektorem naczelnym nie rozmawiałem, za wysokie progi).

Tak że w Polsce ludzie jeżdżą fiatami 126p już od czterech lat i nazbierało się trochę doświadczeń. Przed wyjazdem do Bielska rozmawiałem z kierownikami trzech największych stacji obsługi samochodów w Lublinie — Polmozbytu, PZMotu i Automobilklubu. Listę najtrudniej dostępnych części zamiennych otwierają: kopułka i palec rozdzielacza w aparacie zapłonowym, detale rozrusznika (a szczególnie bendiks), reflektory...

To jest deficyt, raczej absolutny na razie, i tego w Polsce żaden sklep nie prowadzi. Minimalne ilości idą do stacji obsługi na protokóły: awaria — gwarancja. Słyszę ostatnio, że kopułki i palce rozdzielacza pojawiły się w lubelskiej stacji PZMot., co kierownik Stanisław Sikora załatwił sposobem. Na ogół wszystko wygląda prościej. Bez palca (cena 15 złotych) samochód nie pojedzie. W sklepie brak, nawet w Bielsku-Białej (sprawdziłem). W stacji obsługi też brak zazwyczaj, są natomiast całe aparaty zapłonowe (cena 1300 złotych). Jeśli samochód na gwarancji, wymieniają zamiast palca — aparat. Czyli marnotrawstwo, ale konieczne w tej sytuacji. Jeśli samochód po gwarancji, kupuje się zamiast palca — aparat. Czyli — po kieszeni klienta! I też marnotrawstwo. Albo się nie jeździ. Niczego nie odkrywam — rzeczy znane w branży.

Istnieje ponadto jeszcze jeden sposób — Antka kobity szwagra brat, który zna Mańka kobity szwagra brata, który zna wszystkich i wszystko potrafi załatwić...

W Bielsku-Białej powiedziano mi, że możliwości produkcyjne FSM rosną częstokroć szybciej niż produkcja kooperantów, którzy nie nadążają z wytwarzaniem detali i zespołów na taśmę montażową samochodów, co dotyczy właśnie między innymi rozruszników, aparatów zapłonowych, reflektorów. Wówczas stosujemy tak zwany import uzupełniający — aparatów zapłonowych i rozruszników od braci Węgrów, za co płacimy „maluchami"; reflektorów z Włoch, za co płacimy dewizami, albo zespołami napędowymi 126p, którymi przede wszystkim powinniśmy spłacać kredyt licencyjny.

Wydusiłem informację, że szczególnie zawala sprawę warszawski ZELMOT.

Ale skoro na przykład produkuje się na rynek całe aparaty zapłonowe jako części zamienne, to dlaczego nie można produkować samych kopułek i palców? Oczywiście, idzie o ułatwienie sobie wykonania planu wartościowego. Tylko że to już nie są trudności obiektywne; i ciekawe, czy ZELMOT na wniosek FSM został kiedykolwiek pozbawiony premii, a użytkownicy „malucha" dożyją chwili, gdy zamiast całych reflektorów będzie się kupować same odblaski, które w naszym klimacie rdzewieją (zresztą włoskie też), choć właściwie nie powinny.

W połowie tego roku uruchomiono w FSM produkcję „maluchów" o wzmocnionym silniku, tak zwaną 650, w odróżnieniu od podstawowej 600. Standardowe 650 już jeżdżą po kraju, i to wcale ich niemało. Brak natomiast części różnicowych do 650 (różniących się od analogicznych części 600). Już w październiku stacja obsługi Automobilklubu lubelskiego została powiadomiona przez miejscową hurtownię (POSiCZ), iż żadnych części różnicowych 650 do końca roku nie będzie. Podobne kłopoty przeżywają inne stacje. Brak nawet katalogów części różnicowych 650, no i nie wiadomo, jak zamawiać, gdyby brakujące detale były do uzyskania.

Więc wypuszcza się na rynek nową wersję samochodu bez zabezpieczenia w części zamienne! Że nasza poligrafia potrafi się miesiącami żmudzić nad wydrukowaniem katalogów — wierzę. Ale najcięższy kamień trzeba tu wrzucić do ogródka FSM, gdzie produkuje się wzmocnione silniki „malucha". W fabryce moje zastrzeżenia zbyto niejasnymi półsłówkami. Wygląda na to, iż rzecznik prasowy nie orientuje się, czy jego fabryka wytwarza określone detale (a może po prostu tak wygodniej, ponieważ zawczasu o czymś nie pomyślały tęgie głowy?).

Przyszłym użytkownikom „malucha" marzy się sytuacja, że wchodzą do sklepu, powiadają: „Proszę taką to a taką wersję 126p w takim to a takim kolorze", kładą pieniądze na ladę i wyjeżdżają własnym samochodem. Wizja bardzo odległa, ale na razie przynajmniej dobrze by wiedzieć, co nas limituje.

Otóż — zgodnie z uchwałą rządową w sprawie produkcji fiata 126p — poszczególne resorty i zakłady miały w określonych terminach uruchomić produkcję określonych części i podzespołów do montażu samochodów. Sęk w tym, że nie wszystkie resorty i zakłady to uczyniły. Tedy nie wszędzie i nie zawsze przebiega planowo eliminacja importu (szczególnie ze strefy dolarowej) nawet do podstawowej wersji 600. Najpoważniejszym bodaj dłużnikiem FSM jest przemysł chemiczny, ściślej — chemia tworzyw sztucznych. Oraz przemysł gumowy, w ogóle nieprzygotowany do wytwarzania elementów gumowo-metalowych, jak choćby przegubów elastycznych układu napędowego, które to przeguby w całości musimy importować z Włoch.

Ze względu na konieczne oszczędności dewizowe, import części do „malucha", a więc i produkcja samochodu, nie mogą przekraczać określonego poziomu. I tak FSM mogłaby w przyszłym roku zmontować przeszło 200 tysięcy fiatów 126p, lecz planuje się 180 tysięcy, właśnie z uwagi na ograniczenia importowe. Do wspomnianego poprzednio importu z braku zdolności produkcyjnej naszych zakładów dochodzi import i z braku nowych uruchomień.

Taka jest na razie sytuacja, która zresztą limituje również wielkości wypuszczanych na rynek zmodernizowanych wersji 650 — specjal, luks, komfort. Tutaj szczególnie nawet, ponieważ do 1980 roku, kiedy się kończy działanie licencji, właścicielem konstrukcji i zmian jest firma „Fiat", więc zmiany, których wprowadzono dotąd aż 2700, idą zasadniczo z Włoch do Polski. Ale zmiany to również nowe uruchomienia, jeśli nie chcemy importować. A z nowymi uruchomieniami czasem kłopot.

Sytuacja z wolna, lecz się zmienia. Lubelska FSC rozpoczęła w tym roku produkcję kół do „malucha", które dotąd sprowadzaliśmy z zagranicy. Wskutek postępów eliminacji importu coraz więcej 650-specjal na naszych drogach — z regulowanym oparciem foteli i ogrzewaną tylną szybą.

Fiat 126p — Berlina Standard (czyli 600) — pomyślany został jako „drugi samochód". Ktoś ma duży wóz szosowy, zaś „maluch" służy mu do codziennej jazdy po mieście — praca, dom, zakupy, kawiarnia, kino i tym podobne. Jest niewielki, zwrotny, ekonomiczny w eksploatacji, w sam raz. W Polsce od początku funkcjonuje jako samochód uniwersalny — po mieście i na dłuższą trasę. Zresztą od jakiegoś czasu podobnie dzieje się na Zachodzie ze względu na podrożenie benzyny.

Z uwagi na to niektórym fantastom mogłyby się przyśnić daleko idące zmiany — przedni napęd (żeby się lepiej trzymał w terenie), chłodzenie płynem (żeby mniej warczał), dłuższe nadwozie (żeby się zmieściła gruba teściowa w podróży na rodzinne wczasy). Byłyby to sny o potędze „malucha", a zarazem byłoby to naruszenie granic konstrukcji, czyli mowa właściwie o innym samochodzie.

Niemniej zasadnicze zmiany pomyślane przez Włochów, a wprowadzane przez nas na razie przede wszystkim do samochodów eksportowych, idą w kierunku uniwersalizacji „fiatka" (jak go nazywają mechanicy na stacjach obsługi). Wzmocniono silnik, żeby miał lepsze przyspieszenie na IV biegu, i wzmocniono hamulce, żeby był bezpieczniejszy przy większych szybkościach. Wszystko to z myślą o eksploatacji szosowej na dłuższych trasach. Temu służy również podniesienie komfortu i wygody jazdy poprzez wprowadzenie siedzeń przednich typu kubełkowego, odchylanych szyb bocznych z tyłu, rozkładanych siedzeń...

...sam jeżdżę „maluchem..."

Fot. Zb. Jaśkiewicz

Czy to nas wszystko czeka na rynku krajowym? — spytałem w FSM. „Owszem, w miarę eliminacji importochłonności produkcji" — padła dyplomatyczna odpowiedź. Niektóre ulepszenia już wprowadzono — fakt. Niektórym wprowadzonym przyjrzałbym się uważniej — po co na przykład komplikować wymianę poszycia drzwi dodaniem listwy metalowej na tym poszyciu (masz bez listwy i chcesz wymienić jedno, a stacja obsługi oferuje ci z listwą i musisz wymienić dwa)?

FSM zmierza — i to uważam za realistyczne — w kierunku zwiększenia liczby modeli i zróżnicowania cen za poszczególne modele. Od podstawowej wersji 600 z tradycyjnymi hamulcami (87 000 złotych), poprzez różne wersje pośrednie, aż do 650 komfort ze wszelkimi cudami (111 000 złotych), gdzie i alternator poprawiający ładowanie akumulatora, zewnętrzna listwa ochronna karoserii, schowek pod deską rozdzielczą, prawy daszek przeciwsłoneczny z lusterkiem...

Na koniec, żeby nie było niejasności — sam jeżdżę „maluchem" 600 i moi znajomi jeżdżą. Jeżeli ongiś syrena rozpoczęła masową motoryzację w Polsce, to fiat 126p tę motoryzację zrewolucjonizował.

Maciej Podgórski

Kamena str. 10

Zofia Wronko, Andrzej Rzechowski, Piotr Suchora, Tytus Wilski i Włodzimierz Wiszniewski w „Miękkim lądowaniu"

Fot. J. Mirosław

Sztuka i życie kabaretowe

Mirosław Derecki

CO pewien czas przeżywamy w Lublinie przypływ kabaretowej inwencji — powstają nowe scenki satyryczne, reaktywują się stare zespoły. I tak jest również obecnie: w piwnicach Lubelskiego Domu Kultury narodził się kabaret „Kret", w kawiarni „Czarcia Łapa" odrodził się — któryś raz z rzędu — kabaret „Czart". Rzecz charakterystyczna: obydwa zespoły składają się prawie wyłącznie z aktorów Teatru im. Osterwy, co dało powód recenzentowi „Kuriera Lubelskiego" do uczynienia zgryźliwej uwagi, że aktorzy ... *czują się tu w pełni odpowiedzialni za to, co robią, a więc zupełnie inaczej niż w rodzimym teatrze.* Ale nasuwa się jeszcze inny wniosek: od kilku lat na scenkach liczących się kabaretów lubelskich prawie zupełnie nie widać uzdolnionych amatorów, którzy dawniej byli bardzo często również autorami tekstów i piosenek, i to właśnie oni — twórcy i zarazem wykonawcy — określali charakter i specyfikę dawnego „Czarta" czy (od czasu do czasu występującej) — „Loży 44".

„Kret" wystąpił z premierą programu „Gdzie jest wyjście?". Tytuł nawiązuje do skomplikowanego labiryntu piwnic Lubelskiego Domu Kultury, ale zarazem stawia pytanie wynikające z treści całego programu o nieporozumieniach i paradoksach naszego życia codziennego. Chodzi przede wszystkim o paradoksy rodzime, lubelskie, o bolączki, które dotykają nas na każdym kroku. Oczywiście — sprawy budownictwa mieszkaniowego. Rzecz na tyle wprawdzie „wytarta" już na scenkach satyrycznych, co wciąż jednak aktualna, więc zawsze doskonale przyjmowana przez publiczność. Fakt otrzymania przez jednego z bohaterów programu mieszkania w nowym osiedlu jest leitmotivem całego przedstawienia. Wśród skeczów, black-outów i piosenek przewija się opowieść lokatorki o perypetiach związanych z wprowadzeniem się do M-4 i o zasadzkach jakie czyhają na właściciela. Niby nic nowego. Ale autor tekstów, Stefan Lipiec, potrafił ukazać problem w sposób inteligentny, paradoksalny, pure-nonsensowy, „studencki". Chwilami „opowieści mieszkaniowe" mają coś z klimatu wczesnych tekstów Mrożka i w tej satyrycznej, z pure-nonsensowym nasyceniem — specyfice; widziałbym przede wszystkim wartość autorskich produkcji Lipca. Dopomaga programowi konsekwentne trzymanie się wykonawców „z dystansem" do przedstawianej na estradzie postaci i do... samego tekstu.

Doskonałe są opowieści Barbary Koziarskiej o zaletach mieszkania w amfiladzie, bo jest jak ulokować dubeltówkę męża: kiedy kolbę położy się w dużym pokoju, to już w ostatnim można bez trudu zmieścić koniec lufy. Tyle że wszystkie drzwi muszą być stale otwarte... Albo o sąsiadce z innego bloku, którą mąż musiał nieść „w gości" na plecach, bo się jej klepki parkietowe przykleiły do stóp. Nie brak też ciętych black-outów w rodzaju: „Wiara góry przenosi. Pod warunkiem, że „góra" to zaakceptuje..." Poza szeregiem dowcipnych piosenek, jak na przykład ta o Fijałkowskiej — „Fijałkowska, Fijałkowska, ja prijechał k'tiebie z Chabarowska..." igrającej „zbitkami" słownymi i pojęciowymi, jak utrzymana w tradycyjnie satyrycznej konwencji piosenka w wykonaniu Macieja Polaskiego — „Morda lorda", program dotyka tak aktualnego i... tak szczególnie dla Lubelszczyzny charakterystycznego problemu migracji ludności ze wsi do miasta i tworzenia się tutaj nowej obyczajowości i wartościujących punktów odniesienia. „Jak to cudownie być magistrem" śpiewa Stefan Lipiec, a inny wykonawca kontynuuje rzecz opowieścią o „doktorze konduktorze habilitowanym", który dopiero teraz może się wyzbyć kompleksu niższości. No i wreszcie Anna Świetlicka na czele zespołu w parodii „Love story", gdzie starzy chłopi, rodzice, śpiewają na znaną melodię: „Jadą, jadą dzieci drogą...":

Znów inwentarz trza przetrzebić
Trzeba przeciąć sad,
By wiedziały z miasta dzieci
Jaki piękny świat...

Tutaj już śmiech przeradza się w refleksje, wcale znowu nie takie wesołe. I właśnie w tej emocjonalnej dwoistości tekstów Lipca dostrzegam — obok groteskowej formy — główną zaletę jego „tekściarskiej" roboty. Zresztą cały program napisał właśnie Stefan Lipiec, niedawny absolwent Wydziału Prawa, a z wykonywanej profesji — inspicjent w Teatrze im. Osterwy. Może dlatego „Gdzie jest wyjście?" nosi na sobie wyraźne znamię „studenckości" — także tej spod znaku „Loży 44" — co traktuję jako pochwałę niekonwencjonalności.

Twórcy programu (sprawna reżyseria Piotra Suchory) pożałowali nam jednak „prawdziwych" piosenek. A przecież Anna Świetlicka dysponuje dobrym głosem, szkolonym w gdyńskim Teatrze Muzycznym, u Danuty Baduszkowej. Rzecz o tyle do wybaczenia, że koncepcja przedstawienia oparta jest na wylansowanej kiedyś w warszawskiej „Owcy" przez Jerzego Dobrowolskiego formule nieustającego przygotowywania kabaretowego spektaklu, podczas którego nic się niby nie udaje, ale zostają zaprezentowane wszystkie teksty programu. W tej ciągłej czasowej i sytuacyjnej „pogoni" nie ma miejsca na momenty „statyczne" jak konwencjonalna piosenka.

Całkowitym natomiast nieporozumieniem jest salka, w której występuje kabaret. Na długich ławach bez oparcia siedzi się jak w karnej klasztornej kompanii, a prymitywna estradka z „parawanikiem" zamiast kulis, z gołą ścianą w tle, odbiera spektaklowi tak pożądany w kabarecie nastrój intymności i scenicznego „ciepła", wprowadzając atmosferę estradowych występów na przygodnej, prowincjonalnej scence. Światła — zbyt intensywne — sprawiają, że na widowni jest prawie tak samo jasno jak na estradzie. I tylko dobre, przyciągające bezustannie uwagę widza aktorstwo wykonawców ratuje sytuację...

Atmosfera prawdziwie „kabaretowa" charakteryzuje natomiast produkcje „Czarta", który ostatnio wystąpił z dwudziestą siódmą (!) w ciągu siedemnastu lat istnienia (z przerwami) premierą pt. „Miękkie lądowanie". Kawiarnia „Czarcia Łapa", dysponująca salą z pozoru niewygodną, długą, kiszkowatą, załamaną w połowie pod kątem prostym, gdzie znajduje się niewielka estrada z fortepianem, ma jednak w sobie owe nieuchwytne „coś", co stanowi o właściwej, niepowtarzalnej atmosferze. Może jest to spotęgowane „ciepłem" płynącym z estrady od szeregu lat? Bo humor i satyra „Czarta" są zawsze pogodne; kąśliwe ale nie szydercze. Choć nie zawsze teksty i dowcipy bywają najwyższych lotów. Ale to już może wynika ze specyfiki „Czarta", który zawsze stawiał przede wszystkim na aktualność.

„Czarta" założyli na początku 1960 roku dwaj młodzi lubelscy dziennikarze — Andrzej Malinowski i Ryszard Nowicki, wyspecjalizowani wówczas w prasowych „rewolwerówkach". Przez wiele lat skupiona była wokół „Czarta" grupa autorów reagujących „po dziennikarsku" na każde interesujące wydarzenie. Odbijało się ono często już następnego dnia „w krzywym zwierciadle" na estradzie kabaretu. Właśnie formuła krzywego zwierciadła jest do dzisiaj charakterystyczna dla programów „Czarta".

Od pietnastu lat animatorem „Czarta" jest aktor Tytus Wilski. Udało mu się utrzymać charakter „Czarta", choć z biegiem lat kabaret coraz bardziej się profesjonalizował. W „Miekkim ladowaniu" grają już tylko zawodowi aktorzy, a teksty napisał Kazimierz Pawełek, z zawodu wprawdzie dziennikarz (tradycji więc stało się zadość!), ale z powołania — chyba przede wszystkim autor tekstów satyrycznych i kabaretowych.

„Miekkie lądowanie" nie jest typową dla „Czarta", podporządkowaną ogólnej koncepcji „składanką" pisaną przez kilku autorów o różnych temperamentach, poczuciu humoru i odmiennej reakcji na otaczający świat. Ma to swoje dobre i złe strony: spektakl staje się bardziej jednolity, a „ideowa" wykładnia programu więcej przejrzysta. Ale samotnemu autorowi zagraża możliwość braku pomysłów. Przy takim samotnym żeglowaniu owe rafy i mielizny nie ominęły i Kazimierza Pawełka, ale w sumie wybrnął z nich dając dowód doskonalenia swego warsztatu autorskiego.

Tak jak w programie „Kreta" głównym wątkiem są sprawy mieszkaniowe, tak w „Czarcie" leitmotivem stały się kolejne „miękkie lądowania" dobrze ustawionego dyrektora, który niezależnie od głupstw przez siebie popełnionych zawsze znajduje wygodne miejsce w dyrektorskiej „puli". Odkrył sposób umiejętnego „przehabilitowywania się" ze specjalności w specjalność. Raz sprawuje funkcję „dyrektora podsumowywacza", innym razem „dyrektora banku pomysłów", a najczęściej z gwizdem, z tupotem mastodonta przebiega przez estradę — w drodze z etatu na etat. Postać tę kreuje doskonały Włodzimierz Wiszniewski, który objawił prawdziwy talent kabaretowy — i trzeba go widzieć jak tłumaczy z przejęciem, że

Złote dewizowe
Nie są obiegowe,
A złote obiegowe —
Nie są dewizowe.

Tłumaczy to Piotrowi Suchorze i Andrzejowi Rzechowskiemu, wokół których, jako stale tkwiących na estradzie konferansjerów - komentatorów - manipulatorów, obraca się cały program. Oparty zresztą na podobnej formule, co program „Kreta": stałego, niewymuszonego kontaktu między estradą a widownią, prezentowania tekstu w sposób zwyczajny, bezpośredni, czasem nawet celowo — „niedoszlifowany" aktorsko. Suchora i Rzechowski to naprawę bardzo dobry i zgrany duet estradowy: kulturalny, oszczędny w operowaniu środkami wyrazu, prezentujący na małej, kabaretowej estradzie prawdziwe komediowe aktorstwo. Grają lekko i miękko, wydobywając z tekstu maksimum komizmu. A mogliby szarżować, ku łatwej uciesze publiczności, jak choćby w piosence: „Trzecia płeć" lub w skeczu o chłopach z myśliwskiej nagonki, komentujących polowania: „Jak polują ci z kółka myśliwskiego — to płacą gotówką. A jak ci z Województwa, to zaliczają nagonkę jako pracę społeczną"...

Trochę w „Miękkim lądowaniu" starych dowcipów — np. o próbach pewnego jegomościa zweryfikowania okupacyjnego pseudonimu „Profesor" na potrzeby zawodowe, czy też kolejne prześmieszki z klubu sportowego „Motor", co łącznie z dowcipami o dyrektorach przypomina trochę „szkołę" satyry godzącej swoim ostrzem głównie w... kelnerów i fryzjerów. Ale jest również satyra ostra i aktualna, tycząca się wielu dziedzin naszej współczesności. I znowu, jak w „Krecie" — postawiony problem wieś — miasto, sprawy migracyjne i inne, kulturowe, znajdujące odbicie choćby w tekście o nadmiarze ludowych festiwali artystycznych:

Hej, Kiepura ci jo,
Hej, Caruso ci jo,
Hej, Kozłowska ci jo...
A ziemniaki gniją!

I w tym programie nie ma możności „wyśpiewania" się Zofia Wronko. W trochę „drugoplanowych" postaciach dobrze sobie daje radę Stanisław Stojko; całość wyreżyserowali: Piotr Suchora i Tytus Wilski (również występujący w „Miękkim lądowaniu"), gra zespół instrumentalny Jerzego Malta, a wszystko to odbywa się pod auspicjami lubelskiej Estrady.

Warto jeszcze raz podkreślić, że obydwa kabarety, różniące się przecież charakterem i środkami wyrazu, dotykają tych samych spraw i problemów, zbliżając się — każdy w odmienny sposób — do typu kabaretu „publicystycznego".

Tak więc sztuka i życie kabaretowe znowu zaczynają w Lublinie rozkwitać... i oby tylko nam zbyt szybko nie zwiędły.

Kamena str. 11

Takie były początki

Ireneusz J. Kamiński

GRYWANO po wojnie gdzie się dało; tylko okresowo niektóre teatry korzystały ze stałej, niby własnej i odpowiedniej sali. Zespół chełmski występował w sali kina „Zorza", później przeniósł się do Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych, na koniec wylądował w Powiatowym [illegible] Kultury (z którym do dziś jest [illegible] i funkcjonalnie związany). [illegible] do kryzysu moralnego teatr w Krasnym[illegible], który zapowiadał upadek w razie nie otrzymania czegoś przestrzennie godziwego i pieniędzy na kurtynę; przetrwał w chwale do 1968 roku. We Włodawie odnotowano brak sali, krzeseł i ławek. Sympatycy Mieczysława Frenkla występowali początkowo w sali kina, a później, aby obniżyć własne koszta, przenieśli się do magistrackiej. Jeszcze w 1948 roku nie dorobili się krzeseł, ale publiczność miała za to do dyspozycji foyer i bufet. Hrubieszów nie posiadał odpowiedniej sali i teatru o charakterze stałym. Teatr Ziemi Biłgorajskiej korzystał z pomieszczenia o 300 miejscach...

Wpływy z przedstawień połączone z subwencjami władz miejskich czy ministerstwa Kultury i Sztuki — przekazywanymi przecież od czasu do czasu — pozwalały teatrom powiatowym na wiązanie końca z końcem, a nawet wystarczały na skromne, symboliczne honoraria aktorskie.

A na co przeznaczano ewentualne dochody z teatrzyków wiejskich? Dając wiarę oświadczeniom samych zespołów, [illegible]na ułożyć taką listę: remonty świetlic, stroje [illegible] dekoracje, akcje społeczne i charytatywne. Artyst[illegible] malarz Kazimierz Kulecki korzystając z [illegible] pobytu w Bobach koło Urzędowa, gdzie malował obrazy dla tamtejszego kościoła — w trzy tygodnie skompletował zespół z miejscowych ochotników i wystawił w Kraśniku „Niespodziankę" Huberta Roztworowskiego z Czesławem Niećko w roli Ojca, cały skromny dochód przeznaczając na odbudowę Warszawy. Wspomagano też kościoły.

Zespół Związku Walki Młodych we wsi Dubeczna we Włodawskiem sięgnął nawet po „Trędowatą", aby zarobić na utrzymanie świetlicy. Było to 18 lipca 1948 r., a więc niemal trzydzieści lat przed ekranizacją dzieła Heleny Mniszkówny. Podajmy zatem nazwisko reżyserki z Dubecznej: Wanda Michałowicz. Także na potrzeby świetlicy przeznaczono dochód, jaki przyniosły dwie jednoaktówki — „Końska kuracja" i „Przebaczenie", prezentowane w remizie opolskiej przez zespół teatralny ZMW „Wici" ze wsi Podedwórze, który wycenił bilety wstępu na 70—50—30 zł.

Jakim repertuarem chwaliły się zespoły wiejskie? Wesołym, sentymentalnym i głupim. Oto krótka lista amatorskiej oferty artystycznej: „Ten głupi Franek", „Strażackie zrękowiny", „Zemsta cygana", „Ciotka Karola" „Szczęście Hani", „Chcę strażaka" (natychmiast?!), „Dwa filozofy", „Babska polityka", „Kajcio", „Stary dzwon", „Zaloty na kwaterze" i „Mundur swatem" (szalone wzięcie!), „Tatuś pozwolił", „Poseł czy kominiarz".

***Nadal rozpiera się buńczucznie na większości scen głupia, wyświechtana farsa, wciąż jeszcze oglądamy „Muzykę na ulicy", „Naszą żoneczkę", „Papę" itp.* — stwierdzał z goryczą Józef Nikodem Kłosowski w 13 numerze „Zdroju" z 1946 roku.**

Teatry amatorskie naśladowały zawodowców. Ci zaś albo w ogóle omijali miasta powiatowe czy osady, albo traktowali ten teren jako żerowisko i okazję do totalnego wygłupu. Trupy warszawskie szczególnie zażarcie napastowały Lubelszczyznę w 1948 roku.

Jesienią i zimią — użalała się Maria Gładkowska — stale zgłaszają się w krasnostawskim referacie kultury i sztuki rewie objazdowe o fatalnym poziomie. Niedawno wystąpił na przykład zespół warszawski Teodorczyka i Denisa. Program muzyczno-rewiowy, który przedstawili pod tytułem „A to atom", to *sięgający szczytu błazeński, niski dowcip w najtrywialniejszym wykonaniu tak tańca (parodii), jak i piosenki.*

Tylko w maju w Białej Podlaskiej pojawiły się trzy zespoły stołeczne: „Rewia cyrkowa" Stanisława Piotrowskiego, Warszawski Teatr Aktualności, Satyry i Humoru z programem „Rządowe niedyskrecje" oraz rewia „Dla każdego coś miłego" znanego w Krasnymstawie Henryka Denisa. W sierpniu wystąpił w Białej ansambl złożony ze Stanisława Wolińskiego, „komika scen i ekranu", piosenkarki Janiny Winiarskiej, humorysty Włodzimierza Patuszyńskiego oraz Jerzego Pichelskiego, „znanego aktora filmowego". Reklamowany jako rewia warszawska, przedstawił P. T. publiczności „Podatek od śmiechu". Ciekawe, że w tym samym miesiącu w Lubartowie trupa wystąpiła pod firmą Teatru Łódzkiego „Syrena". Biała Podlaska okazała się zresztą ulubionym miejscem inwazji z wielkiego świata, o czym decydowała bliskość stolicy oraz fakt posiadania odpowiedniej sali.

Chełm również nie mógł narzekać na brak atrakcji. W styczniu rozłożyła się tam obozem jakaś „Rewia cyrkowa" oraz Władysław Walter w komedii Cwojdzińskiego „Człowiek za burtą". Ostatecznie to widzowie znaleźli się na aucie ,jako że miast kontentować się na poły pornograficzną (podobno) sztuką, opuszczali salę w stanie świętego oburzenia. Trudno jednak powiedzieć, ilu z nich trafiło na koncert Filharmonii Lubelskiej, którą prezes Towarzystwa Miłośników Sztuki, Kazimierz Janczykowski, witał gorącym słowem i dziękował *za trudy poniesione w celu szerzenia [illegible]tury muzycznej wśród ludu pracującego i [illegible] szkolnej.*

Długo wyczekiwano na [illegible]ski Teatr Miejski, który po raz ostatni gościł w Chełmie na samym początku roku. Cierpliwość została przecież wynagrodzona: 7 lipca zespół z ul. Osterwy przedstawił „Dar poranka", co przyjęto niebywałymi owacjami.

Trupy nie zaniedbywały też Hrubieszowa, który we wrześniu wytapetowano takimi obwieszczeniami: *Wszyscy dorośli mieszkańcy Hrubieszowa do lat 45, nie umiejący czytać i pisać, obowiązani są zgłosić się na kurs dla analfabetów...* Można przypuszczać, że część adresatów udała się jednak gdzie indziej, a mianowicie do sali kina „Roma" (którego w 1946 roku jeszcze nie było). Ściągnęła ich tutaj wielka sensacja: występ artystów z Warszawy, a konkretnie — Chmurkowskiej, Olszy i Sojeckiego. Najtańsze bilety kosztowały 150 zł, ale nic to, publiczność nie zawiodła. Zabawa okazała się świetna, przynajmniej dla aktorów, niemniej jakiś malkontent napisał do redakcji „Sztandaru Ludu" co następuje: *Ciekawi mnie tylko, czy wielki Polak, ksiądz Stanisław Staszic, który tu w Hrubieszowie... założył w roku 1822 „Towarzystwo ratowania się wspólnie w nieszczęściach, przewidział takie nieszczęście jak przyjazd artystów stołecznych, niosących na zapadłą prowincję swoisty rodzaj „kultury", wyrażający się w płaskich dowcipach, obliczonych na najbardziej niewybredne upodobania.*

Wspomniana trójka wystąpiła uprzednio w Lublinie, który także najeżdżano bezceremonialnie. Zjawił się na przykład prywatny cyrk „Arena" (nr 2), chwalący się w programie, że istnieje od 1880 roku, co znalazło zresztą potwierdzenie podczas występów. Oto konferansjer wychodził na widok publiczny w starym fraku bez gorsu, z wyciągniętą ze spodni koszulą. Oto podstarzałe tancerki wykonują kilka tanecznych przysiadów i znużone schodzą ludziom z oczu. Oto akrobatka męczy się w prostych ewolucjach — gdy tymczasem clown smaruje twarz partnera brzozową miotłą, rozgniata jaja, a na koniec wyciąga szczura zza buta...

Przykład idzie z góry, więc i miejscowi zaczęli próbować różnych sztuczek, oferując je za opłatą dalszej prowincji. Pan A. Wasowicz z Zamościa wymyślił na przykład „Wieczór złudzeń", z którym jeździł po okolicy, wprowadzając ludzi w osłupienie, ale nie z powodu swych magicznych manipulacji. Co nieco na ten temat zanotował referent J. Stachurski z Lubartowa: ***Dawne widowisko nosi charakter sztuk kuglarskich, nadających się na występy jarmarczne. Kierownictwo i cały zespół artystyczny ogranicza się do jednej osoby — Wasowicza, i ma cechy brutalnego obdzierania publiczności z gotówki.***

Nie martwmy się jednak za innych. Tego rodzaju produkcje przypadkowych zespołów objazdowych z Warszawy i innych miast miały swoją wdzięczną publiczność. Ludzie nie mieli zbyt wielu okazji do śmiechu, czy mówiąc dzisiejszym językiem, relaksu, więc korzystali z każdej. Nadużywano ich dobrej woli, to prawda, lecz takie postępowanie jakoś nie zrażało publiczności — bo nie miała ona większego wyboru.

Fragmenty książki „Gorące dni kultury", która ukaże się w Wydawnictwie Lubelskim.

Sytuacja lokalowa teatrów pogarszała się w miarę rozwoju kinofikacji. Oto kina zaczęły żądać od teatrów wysokich opłat za wynajem sal, które uznały za swoją wyłączną własność. Od Teatru Ziemi Łukowskiej kierownik tamtejszego kina domagał się ośmiu tysięcy złotych, czyli przybliżonej sumy wpływów za trzy niedzielne seanse filmowe. Interwencje starosty powiatowego i Marii Bechczyc-Rudnickiej w Okręgowym Wydziale Kinofikacji (przy ul. Peowiaków 6) nie na wiele się zdały. W podobnej sytuacji znalazł się na przełomie 1946 roku Teatr Ziemi Zamojskiej, mający charakter sceny półzawodowej, kierowanej wówczas przez T. Skonieczną. Ambitny zespół wystawiał w sali kino-teatru „Stylowy" sztuki wartościowe, zarówno klasyczne („Balladynę", „Moralność pani Dulskiej"), jak i współczesne. Nieregularnie przekazywane subwencje — 10 000 zł miesięcznie (wciąż mowa o złotówkach sprzed reformy walutowej) — pochłaniało wykonywanie dekoracji i rekwizytów. Wpływy z biletów wstępu przeznaczano na wynajęcie sali, będącej w rękach owej kinofikacji, oraz na skromne honoraria aktorskie. Trudnawo było, ale jakoś szło się do przodu. Tymczasem niedawno kino zażądało od teatru 24 000 zł za wynajęcie sali na jeden wieczór (dwa przedstawienia)! A pełna sala zapewniała raptem 4000 zł dochodu brutto. Teatr zwrócił się więc o pomoc do wojewody, dołączając do pisma poparcie starosty C. Kawęckiego... Nie udało się ustalić finału tej sprawy.

Teatry rozwijałyby się zapewne lepiej, gdyby kina podlegały resortowi kultury. W ramach potężnego Ministerstwa Informacji i Propagandy kinofikacja stała się wrogiem numer jeden scen amatorskich, szczególnie groźnym, jak się zdaje, na Lubelszczyźnie. Świadczy o tym publikacja pt. „Tu Odra, tam San i Bug", która ukazała się w 21 numerze tygodnika „Odra" z 1946 roku.

Autor, Antoni Pawlikiewicz, odwiedził kilka ośrodków Polski południowo-wschodniej, m. in. Krosno, Rzeszów, Chełm i Zamość, co pozwoliło mu na sformułowanie takiej refleksji: *Miasta, o których w reszcie Polski niemal, że zapomniano, w rzeczywistości nie tylko oddychają i pracują, lecz w ich nielatwych tamtejszych warunkach szukają dla siebie należnego miejsca w pozycji zwanej kulturą i sztuką.* Naczelne miejsce zajmuje teatr. Z wypowiedzi udzielonej dziennikarzowi przez prezydenta Zamościa wynikało jednak, że miasto dopiero czeka na własną scenę. Ponieważ publikacja ukazała się w lipcu, można przypuszczać, że konflikt z kinofikacją zakończył się okresowym choćby wstrzymaniem działalności przez Teatr Ziemi Zamojskiej, albo prezydent wyraził się metaforycznie.

Kamena str. 12

POCZĄTEK nowego sezonu koncertowego w lubelskiej Filharmonii określić trzeba — z perspektywy dwóch miesięcy — jako bardzo interesujący i udany, zarówno pod względem repertuaru, jak i wykonawstwa, a z tym ostatnim nie tak dawno jeszcze bywało dość różnie. Początek ważkie, jak wspomniałem, był dobry i wróży on ciekawy sezon, który powinien dostarczyć lubelskim melomanom wielu niezapomnianych wrażeń, a filharmonikom i ich szefowi przysporzyć nowych artystycznych dokonań i płynącej z nich satysfakcji.

Już inauguracyjny koncert, zbieżny w czasie z obchodami Międzynarodowego Dnia Muzyki, uznać należy za wydarzenie w życiu muzycznym naszego miasta. Przesądziła o tym osoba solisty — Piotra Palecznego, który wespół z dobrze dysponowaną orkiestrą pod batutą Jaroslava Soukupa stworzył dużej miary kreację *IV Symfonii Koncertującej* Karola Szymanowskiego. Wirtuozowska ekspresja tego dzieła, odznaczającego się niezwykłą w nowszej muzyce subtelną melodyką, wydaje się odpowiadać temperamentowi i osobowości artystycznej Palecznego, czego dowiódł przekonywająco zwłaszcza w III części.

Główną jednak część niniejszych uwag chciałbym poświęcić trzem koncertom, które bez wahania nazywam rewelacyjnymi. Zacznę od dwojga młodych artystów, przed którymi międzynarodowa kariera stoi dopiero otworem. Jacek Kasprzyk należy z pewnością do najbardziej uzdolnionych dyrygentów, jakich miałem okazję oglądać. Pierwsze kroki stawiał w lubelskim liceum w klasie dyrygentury prof. Adama Natanka. PWSM w Warszawie ukończył z nagrodą ministra Kultury i Sztuki. Wkrótce powierzono mu kierownictwo muzyczne *Don Giovanniego* Mozarta w Teatrze Wielkim. Premierą

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

Wystawa pracy kobiet w Warszawie mało stosunkowo dotychczas na prowincji znajduje poparcia. Wina to po części Zarządu Muzeum Przemysłowego, który nawet nie raczył nadesłać redakcjom pism prowincjonalnych schematu, mającego być wypełnionym. Wystawa Lwowska przekonała, że aby się tego rodzaju przedsięwzięcie powiodło, potrzeba wystawców szukać, wskazywać im i zachęcać.

Lublin pod względem rozwoju pracy kobiet jest jednym z pierwszych wśród miast prowincjonalnych. Niewieście ręce prowadzą u nas dwa zakłady fotograficzne, dwa zakłady szewskie, introligatorski, pralnię, a także wysoko uzdolnione kwiaciarki, również posiadamy mnóstwo magazynów wykonujących przyzwoicie ubrania damskie, na koniec mamy prowadzone przez kobiety sklepy, nawet spółkowe, które mogłyby wystawić swoje księgi buchalteryjne z lat dawniejszych. Okolica jest w stanie pochwalić się kilkoma wzorowymi gospodarstwami kobiecymi, celującymi w różnych działach. A jednak nie słychać ażeby Lublin i Lubelskie strony pilnie się zajęły wystawą — nie było na miejscu takich co by zajęły się jej organizacją.

■

Nasi młodzi dorożkarze zaczynają już dojrzewać. Pomimo wysokiej taxy wymagania ich nie mają granic, zwłaszcza niektórych. Znaki szczególne tych mężów są gburowatość i lekceważenie pasażerów a i ... odnośnych rozporządzeń. Jeżeli władza w samym zaraniu egzystencji tych władców wehikułów nie ukróci ich swawoli, złe może się zaklimatyzować. Dziś ograniczymy się na tej krótkiej wzmiance. W przyszłości wszakże nie omieszkamy śladem warszawskiej prasy wskazywać szczegółowych nadużyć.

„Kurier Lubelski"

PRZED 50 LATY

Jeszcze w roku 1925 na Zjeździe byłych wychowańców szkół lubelskich, zapadła uchwała założenia w Lublinie na

Jesień w Filharmonii

Stefan Münch

tą zyskał wiele pochlebnych ocen i recenzji, co podkreślić trzeba tym bardziej, że spektakl ten nie jest raczej tytułem do chwały warszawskiej Opery. I wreszcie sukces na miarę europejską: III nagroda (pierwszej nie przyznano) na Międzynarodowym Konkursie Dyrygenckim im. Herberta von Karajana w Berlinie Zachodnim. Efektem tej nagrody są interesujące kontrakty: premiera *Damy Pikowej* Czajkowskiego w Deutsche Oper am Rhein, koncerty w USA, nagrania z orkiestrą Suisse Romande i — rzecz, o której dyrygenci marzą latami! — w styczniu 1979 r. debiut w La Scali.

Mając to wszystko na uwadze, z wielkim zaciekawieniem oczekiwaliśmy koncertu, w którego ramach Jacek Kasprzyk zaprezentował lubelskiej publiczności muzykę rosyjską. Już w *Uwerturze Uroczystej* Dymitra Szostakowicza, utworze dynamicznym i ekspresyjnym, wymagającym od dyrygenta koncentracji i dużej precyzji, Kasprzyk okazał się artystą wielce obiecującym, o ukształtowanej już osobowości. Wrażenie to potwierdziła w całej pełni *Rapsodia na temat Paganiniego a-moll op. 43* Sergiusza Rachmaninowa, kompozycja będąca w zasadzie cyklem 24 wariacji na temat znanego *Kaprysu a-moll* Paganiniego, ale porzucająca klasyczną formę wariacyjną na rzecz skontaminowania jej z elementami rapsodii i koncertu. Tutaj Kasprzyk wraz z tak doświadczoną i dobrą pianistką, jak Lidia Grychtołówna, interesująco uwypuklili epickość tego utworu.

Ukoronowaniem wieczoru stała się *V Symfonia e-moll op. 64* Piotra Czajkowskiego. Jeden z krytyków, analizując emocjonalne podłoże powstania *V Symfonii*, napisał o jej twórcy: „Nieokiełznana namiętność popycha jego wyobraźnię od beznadziejnej rozpaczy do ekstatycznej radości, od bezwolnej rezygnacji, do impulsywnych wybuchów triumfu". Gdyby słowa te odnieść do owej muzyki, wyjątkowo pięknej i przemawiającej do słuchacza, wówczas można by nimi określić interpretację Kasprzyka. Było to naprawdę rewelacyjne: młodemu dyrygentowi udało się uchwycić niepowtarzalny klimat Piątej, zaktywizować i wydobyć najsubtelniejsze pokłady myśli kompozytora i porwać publiczność swoim romantycznym sposobem dyrygowania.

Jacek Kasprzyk jest na pewno talentem na miarę europejską i — w co nie wątpię — niedługo już zajmie należne sobie miejsce w czołówce polskich dyrygentów. Trzeba tu podkreślić, że udało mu się nawiązać doskonałą współpracę z orkiestrą Filharmonii, której w takiej formie rzadko zdarzą się wystąpić.

W kilka dni później gościliśmy na lubelskiej estradzie gruzińską skrzypaczkę Rusudan Gwasalia, uczennicę Dawida Ojstracha, laureatkę V Konkursu im. P. Czajkowskiego i zdobywczynię I nagrody na Konkursie im. M. Long i J. Thibaud w Paryżu. Opinie krążące o jej wyjątkowych zdolnościach i talencie pozwalały przypuszczać, że będzie to dużego formatu wydarzenie artystyczne. Tak też było w istocie: Gwasalia czuje się świetnie zarówno w Beethovenie, jak i w Szymanowskim, w Saint-Saensie i w Szostakowiczu, a jej interpretacja *Sonaty d-moll op. 108 nr 3* Brahmsa olśniewała wdziękiem, lekkością, finezją i subtelnym uczuciem, w pełni ukazując romantyczny charakter tej późnej przecież kompozycji.

Najwyżej jednak oceniam — choć należy się tu posłużyć zupełnie innymi kategoriami — koncert Polskiej Orkiestry Kameralnej pod batutą Jerzego Maksymiuka. Jest to w tej chwili, jak sądzę, jeden z czołowych zespołów tego rodzaju w Europie, wcale nie ustępujący takim firmom, jak na przykład St. Martin-in-the Fields czy monachijska Bach-Orchester. *Koncerty brandenburskie* (I i III) J. S. Bacha, *Divertimento D-dur* K. V. 136 Mozarta, utwory Haydna, Rossiniego i Telemanna ukazały charakterystyczną cechę tej orkiestry: wirtuozeria i blask (nie błyskotliwość) określają dzieło, a nie jego wykonanie. Wtedy dopiero można w pełni dostrzec przebieg myśli muzycznej, rodzaj ekspresji i — zwłaszcza u Bacha — ową cudowną konieczność wszystkich składników utworu, wtedy przemawia sama muzyka, nie to, co jest drugoplanowe i zewnętrzne. Źródłem opisanej sytuacji jest znakomita sprawność techniczna wszystkich bez wyjątku członków orkiestry, doskonałe funkcjonowanie całości i oczywiście osobowość Jerzego Maksymiuka. To wszystko złożyło się na rodzaj muzycznego misterium, w trakcie którego dane nam było wysłuchać coś tak nieskończenie pięknego, jak pierwsza część *Sonaty nr 2* Rossiniego, czy zachwycić się bogactwem konstrukcyjnym i melodycznym *III Koncertu brandenburskiego*.

Jako że nie wypada nie zgłaszać w recenzji żadnych zastrzeżeń, pozwolę sobie wziąć w obronę... Beethovena. Doprawdy, nie ma on szczęścia w lubelskiej Filharmonii i to pomimo jubileuszowego roku. Swego czasu zastrzeżenia wzbudził we mnie Sulikowski w *I Koncercie*, brzmiało się jednak, że można pójść jeszcze dalej... Maria Magdalena Janowska-Bukowska, pianistka, teoretyk muzyki i krytyk (koncertujący krytyk nie wróży nic dobrego — przykłady pominę) wykonała *IV Koncert G-dur op. 58*, dyrygował Ryszard Komorowski. Piszę „wykonała" z dwóch powodów: po pierwsze, wybór dzieła jest niewątpliwie aktem dużej odwagi, gdy zważyć, że najwybitniejsze nawet pianistki nie decydują się grać koncertów Beethovena; po drugie, kobieco-niefrasobliwe bębnienie w klawiaturę (gdzie indziej może urocze), połączone z odczuwalnym brakiem jakiejkolwiek głębszej koncepcji interpretacyjnej, sprowadzają rzecz całą do mniej więcej dokładnego reprodukowania zapisu nutowego, z wiernością określoną własnymi możliwościami technicznymi.

Nieco inny zarzut postawić trzeba Zbigniewowi Goncerzewiczowi, który w *VIII Symfonii F-dur op. 93* do końca nie mógł się zdecydować, czy to on prowadzi orkiestrę, czy odwrotnie. Dbał jednak w miarę swych możliwości o precyzję wykonania, a zwłaszcza pilnował, aby orkiestra grała, jeśli tylko może, ostro i głośno, co w odniesieniu do Ósmej wydaje się pomysłem raczej ryzykownym. Na szczęście w Koncercie C-dur op. 26 Prokofiewa było lepiej.

Sądzę, że w roku Beethovenowskim należy zapraszać wykonawców o ustalonej renomie, ustalających repertuar stosownie do swych predyspozycji i zainteresowań (vide Jakowicz). Inaczej rezultat będzie wątpliwy i stanie się niepotrzebnym dysonansem na tle całościowego obrazu pierwszych miesięcy nowego sezonu, które ocenić trzeba z całą pewnością bardzo wysoko.

---

pamiątkę Zjazdu Ogrodu Botanicznego. Przeznaczono mianowicie na ten cel plac na Bronowicach. Plac ten uzyskałoby miasto w myśl uchwały Rady Miejskiej z 14 maja 1925 roku, które zezwalając panu Sachsowi, właścicielowi Bronowic, na parcelację, równocześnie zastrzegła dla miasta 7 tys. mtr. gruntu na cele użyteczności publicznej. W tym miejscu dzieje uchwały zdążającej do stworzenia w Lublinie Ogrodu Botanicznego urywają się. Zapomniano o tym, czy też brak kredytów, czy też inne względy, nie wiadomo. A szkoda, stworzenie w Lublinie Ogrodu Botanicznego to rzecz niezmiernie pilna. Wszystkie prawie większe miasta w kraju, a nawet mniejsze od Lublina np. Zamość, posiadają swe własne ogrody botaniczne. Jest to potrzebne ze względu na uczącą się młodzież, dla której ogród jest dużą pomocą naukową. Również wpływa to i na kulturę mieszkańców. Wiemy o tym dobrze jak obcowanie z naturą i podglądanie jej życia kształci, wysubtelnia czucie i inteligencję. Zresztą nie trzeba od razu budować rzeczy wielkich, zacznijmy na razie od małego, a w miarę postępu czasu przyjdzie i rozwój.

„Głos Lubelski"

■

Dnia 16 listopada roku bieżącego będzie widziane w Polsce bardzo interesujące i rzadkie zjawisko atmosferyczne, mianowicie przejście Merkurego przed tarczą słońca.

Przejście Merkurego przed tarczą słońca należy do zjawisk dość rzadkich, pojawiających się w okresie 48 lat. W ciągu takiego okresu jest sześć przejść, z których cztery przypadają w maju, a dwa w listopadzie. Zjawisko to obserwować można przez lunety lub lepsze lornetki, na które jednak trzeba nałożyć zakopcone szkło

■

Wskutek zatajania przez odpowiednie czynniki, dopiero dziś jesteśmy w stanie podać do wiadomości publicznej niebezpieczeństwo, jakie grozi Lublinowi ze strony wadliwej konstrukcji gazowni. Notujemy fakt. We wtorek dnia 15 bm. palacz Łuszczyński doprowadził w kotle do nadprzepisowego ciśnienia pary i oddał służbę drugiemu palaczowi. Około godziny 11-tej wieczorem nastąpiła gwałtowna eksplozja pary zarówno przez klapę bezpieczeństwa jak i też, jak twierdzą, przez załamanie jednej ściany kotłowej, co spowodowało ogólny wstrząs łożysk kotłowych. Stwierdzamy, że w ogóle wypadek ten mogący pociągnąć za sobą nieobliczalne skutki w różny sposób opisywany jest przez miarodajne czynniki co spowodowało wczorajsze pogłoski o wybuchu zbiornika gazowego. Jedno jest faktem, że obniżono po tym wypadku ciśnienie atmosferyczne kotła z 6 do 3 atmosfer, co wskazuje na niebezpieczeństwo w jakim znajduje się ten obiekt składowy gazowni. Mamy wrażenie, że władze natychmiast zbadają stan w jakim znajduje się kotłownia w gazowni, a tym samym wezmą odpowiedzialność za dalszy stan bezpieczeństwa miasta, którego ukrywanie uważamy za rzecz szkodliwą.

„Ziemia Lubelska"

Wybrała: **Anna Orzechowska**

MILION HEKTOLITRÓW NIECH ŻYJE!

PIWO z browaru w Żywcu, popularnie zwane „żywcem", nie tak jeszcze dawno szło na rynek pod sztywny rozdzielnik i, jak powiadali piwosze spoza rejonu browaru żywieckiego (oraz połączonych z nim bielskiego i cieszyńskiego), można było pisać odezwy do ślepej kiszki, a złocistej radości żywieckiej się nie napić.

Obecnie Stefan Korycki, główny inżynier Zakładów Piwowarskich w Żywcu, powiada, iż może każdemu kontrahentowi dać każdą ilość hektolitrów (za zwrotnym opakowaniem).

Czy handlowcy spoza rejonu są o tym poinformowani (rzecz jasna — myślę o handlowcach krajowych)? Nie — ponieważ zakład jest lojalny wobec przyjacielskich konkurentów-producentów (rzecz jasna — krajowych), którzy też chcą zarobić. Ale ja nie muszę być lojalny wobec rozmaitych bełtów pod nazwami: Trybunalskie, Perła chmielowa, Pełne jasne, więc informuję, jaka jest sytuacja.

A będzie jeszcze lepsza, skoro sam browar żywiecki, produkujący dziś około 400 tysięcy hektolitrów butelkowanego piwa rocznie, w przyszłym roku będzie go wytwarzać 660 tysięcy hektolitrów dzięki uruchomieniu nowej linii produkcyjnej firmy „Zeitz", kosztującej sześć i pół miliona szylingów austriackich zresztą.

Ta inwestycja dewizowa szybko się zwróci, albowiem browar drenuje rynki zagraniczne, w tym tak bogate jak Stany Zjednoczone (imported by Stanley Stawski), Wielka Brytania (sole importer Edouard Robinson) oraz tak wybredne jak Republika Federalna Niemiec (importiert durch WELT MARKEN-IMPORT).

Wartość produkcji trzech browarów wyniesie w 1977 roku 1 650 000 000 złotych, ale eksport idzie tylko z browaru żywieckiego, który, założony w 1856 roku, posiada tradycje wielkoświatowe w solidnym starym stylu, będąc ongiś własnością arcyksięcia Albrechta Habsburga z cesarsko-królewsko-apostolskiego rodu.

Robienie piwa butelkowanego w browarze jest dla smakosza sprawą pierwszorzędną, albowiem rozlewnie GS, otrzymujące „żywiec" w beczkach, posiadają urządzenia raczej domorosłe i przy butelkowaniu psują piwo, markę browaru oraz żołądki amatorów, a napój nie ma gazu, bukietu i piany.

Najlepsze do konsumpcji jest piwo o temperaturze 15 stopni. Zakład daje gwarancję swemu produktowi od trzech miesięcy do pół roku, lecz w lodówce piwo może poleżeć i ze dwa lata w temperaturze 2 stopni. Takie uzyskałem informacje. Osobiście najbardziej preferuję chłodnego „żywca" z beczki drewnianej i z sokiem wiśniowym. Tylko że teraz już na całym świecie zasadniczo nie produkuje się i nie przechowuje piwa w beczkach drewnianych... „Drewno jest droższe i mniej praktyczne, a na właściwości smakowe wpływu nie ma. Takie wspominki o beczkach dębowych to jak bym mojemu synowi opowiadał o czasach partyzanckich" — mówi dyrektor Korycki.

Tajemnica technologiczna produkcji najlepszego piwa w PRL polega na tym, że jest tajemnicą właśnie (odpowiednich pasteryzatorów między innymi). Nie jest natomiast tajemnicą światowej sławy woda górska z rzeki Leśnianki, o małej zawartości węglanów wapnia, bardzo miękka, wyjątkowa woda, na której warzy się piwo żywieckie. I wysokiej klasy urządzenia szwajcarskie też nie są tajemnicą.

Najlepsze piwo w Polsce robi się pomimo różnych pomimo. Że rolnicy nie są zainteresowani w produkcji jęczmienia piwowarskiego, hodują głównie pastewny, i browar ma trudności z pozyskaniem podstawowego surowca (bo skiełkowane i wysuszone ziarno jęczmienia jest podstawowym surowcem w produkcji piwa, a nie chmiel). Że organizacja zbiorów i skupu chmielu szwankuje i bywa chmiel za późno zbierany oraz wadliwie konserwowany (a w ogóle dobór chmielu to cała sprawa, szyszki muszą być... płci żeńskiej, która posiada większą zawartość żywic chmielowych, nadających sam smak piwu). Że nie można się pokłonić hutom szkła za wysoką jakość butelek (co poniektóre pękają, co poniektóre mają odkształcenia i nie da się ich szczelnie zakapslować).

Więc nie wszystko jest miód. Oczyszczalnia ścieków bardzo przeciążona, a brak przychylnych perspektyw na nową, i browar puszcza niedoczyszczone ścieki do Soły, rzeki pierwszej klasy, zaopatrującej cały okręg górnośląski w wodę. Ścieki wprawdzie nietoksyczne dla ludzi, ale zabójcze dla życia biologicznego w wodzie, roślin i ryb.

Tak, lecz piwo robią świetne i bardzo mi się przyjemnie pisze o żywieckim browarze. Żałuję tylko, iż nie robią porteru, który w ogóle jakoś zniknął z rynku krajowego. Słyszę, że cykliczność produkcji porteru czyni sprawę nieopłacalną. Można wyprodukować trzy szarże dobrego piwa w miejsce jednej porteru.

W XIII wieku na Pawlusiowym Wzgórzu, gdzie potem zbudowano żywiecki browar, już warzyli Polacy piwo. W 1857 roku, po otwarciu browaru, wyprodukowano 17 860 hektolitrów piwa. W tym roku produkcja trzech połączonych browarów przekroczy milion hektolitrów, czyli sto milionów litrów.

Znając operatywność lubelskich handlowców, jestem przekonany, iż znajdą jakiś wybieg, aby nie sprowadzić piwa z Żywca, po co bowiem mamy raczyć się piwem dobrym, skoro możemy pić złe.

Pociej

Kamena str. 13

kultura 1977

FILM i TV

● Teatr telewizyjny rozpoczął pierwszy rok działalności pod kierunkiem Jana Pawła Gawlika. Przystąpiono już do opracowania wieloletniego planu repertuarowego, którego celem ma polegać na artystycznym przekazywaniu dojrzałej wiedzy o współczesnym człowieku, przy utrzymaniu funkcji edukacyjnych teatru. W prezentowanych sztukach realizatorzy coraz częściej będą wychodzić ze studia telewizyjnego, wskutek czego zacznie się zacierać różnica pomiędzy tradycyjnie pojętym teatrem telewizji a filmowym, formami wypowiedzi artystycznej. Teatr Telewizji obejmuje: Teatr Poniedziałkowy, Teatr Małych Form, Teatr Komedii, Teatr Telewizji na Świecie oraz Teatr Sensacji.

● Rok bieżący był bardzo bogaty w filmowe kontakty środowisk polonijnych z krajem. I tak np. polska ekipa telewizyjna, współpracując z nowojorską Fundacją Kościuszkowską, zrealizowała 17-odcinkowy serial dokumentalny (na taśmie kolorowej, w dwóch wersjach językowych) o Polakach w Stanach Zjednoczonych, wkładzie Polaków w życie i osiągnięcia amerykańskie od początku XVII wieku. Znany podróżnik i filmowiec amerykański Antonio Halik zrealizował kilka filmów o Polsce dla sieci telewizyjnej NBC. Biznesmen polskiego pochodzenia Edward Piszek przygotowuje godzinny fabularny dokument o Polsce, pragnie także stworzyć film o Kazimierzu Pułaskim. Pierwszy, o Tadeuszu Kościuszce, zdobył pierwszą nagrodę na jednym z festiwali w San Francisco.

● W Sztokholmie odbyła się premiera pierwszego wyprodukowanego za granicą filmu Bergmana pt. „Jajo węża". Akcja rozgrywa się w listopadzie 1923 roku w Berlinie, a tytuł odnosi się do embrionalnego wtedy stadium nazizmu. Znaczna większość recenzentów uznaje film za arcydzieło, bardzo wysoko też ocenia grę aktorów. Niektórzy krytycy mają za złe Bergmanowi zbyt dużą ilość scen gwałtów i krwawych rozpraw, inni odpowiadają, że takie właśnie czasy nadchodziły w ówczesnych Niemczech.

LITERATURA

● 28 listopada minęła 70 rocznica śmierci Stanisława Wyspiańskiego. Zmarł mając zaledwie 39 lat życia, w tym tylko 18 lat zdążył poświęcić działalności artystycznej. Ciało jego złożono w grobowcu na Skałce bez żadnych przemówień. Był to jednak pogrzeb manifestacyjny. Pozostawił po sobie około 500 dzieł plastycznych, był również nowatorem w wielu inscenizacjach teatralnych (zwłaszcza w przedstawieniu „Dziadów" w 1901 roku). Jego dzieła dramaturgiczne układają się jakby w pewne cykle o wspólnej czy pokrewnej tematyce: dramaty greckie, wawelsko-krakowskie, o powstaniu listopadowym, polityczne i wiejskie. Ponadto napisał wiele wierszy lirycznych. Jego dramaty do dzisiaj często gością na scenach polskich.

● Za dwa lata, w 1979 roku, miną trzy rocznice związane ze Słowackim: 170-lecie jego urodzin, 130-lecie śmierci i 150 rocznica przybycia poety do Warszawy, w której jednak mieszkał bardzo krótko. W związku z tym postanowiono zbudować w Warszawie pomnik Juliusza Słowackiego według przedwojennego jeszcze projektu Edwarda Wittiga. Będzie to właściwie nie tyle pomnik samego Słowackiego, ile jego Króla-Ducha. Pomnik stanie w parku Ujazdowskim, niedaleko pomnika Chopina.

● W trzy lata po śmierci autora ukazała się w Paryżu książka Marcela Pagnol'a „Le Temps des amours" (Czas miłości), nad którą pracował do ostatnich dni życia. Wdowa po pisarzu powiedziała przed kamerą telewizyjną, że autor pozostawił tylko poszczególne rozdziały nie ułożone w całość, a pomysł książki ulegał licznym zmianom. Są to wspomnienia „miłości" dziecięcych i młodzieńczych. Dodała dalej, że Pagnol był zazdrosnym mężem, że bawiły go małe skandaliki, robił zakłady na temat wyników meczów piłkarskich i bokserskich. W ciągu 4 miesięcy sprzedano pół miliona egzemplarzy książki.

OPINIE

● „Jeśli reżyser teatralny w Wielkiej Brytanii chce wystawić sztukę „ku pokrzepieniu serc" z pozytywnym bohaterem, walczącym o jakieś ideały lub przynajmniej wierzącym w takie wartości, jak przyjaźń, uczciwość, poświęcenie dla dobra innych ludzi czy kraju, musi sięgać po utwór autorów XIX-wiecznych, względnie przedwojennych. Współczesna dramaturgia brytyjska potrafi się zdobyć jedynie na przedstawienie różnego rodzaju gwałcicieli porządku, zboczeńców, narkomanów, dziwaków lub w najlepszym wypadku absolutnych sceptyków i cyników". (Krytyk londyński Robert Cushman).

● „Planowe, a więc w pełni zorganizowane formy współpracy i wymiany kulturalnej Polski z zagranicą są cechą charakterystyczną polskiej sytuacji kulturalnej dopiero po 1945 roku, od momentu, gdy o rozwoju kultury, jej kierunkach i trendach zaczęły decydować założenia polityki kulturalnej państwa. Od tego momentu zwiększył się wydatnie udział wartości kulturalnych innych narodów w kulturze polskiej, odtąd też obecność znaków literackich innych literatur europejskich i światowych stała się nie tylko bardziej jeszcze ewidentna, ale i systematyczna". (Zenon Skuza — „Literatura" nr 47).

Pisarstwo Kornela Filipowicza ze względu na charakterystyczne cechy tej twórczości wypadnie zaliczyć do kręgu prozy psychologiczno-obyczajowej. Autor „Romansu prowincjonalnego" urodzony w roku 1913 kontynuuje realistyczny wzorzec nowelistyki i powieściopisarstwa". (Stanisław Stabro — „Kultura" nr 48).

TEATR

● Przed 30 laty rozpoczął działalność znany dziś w całej Europie „Piccolo Teatro di Milano". Z inicjatywą utworzenia placówki teatralnej, rzeczywiście dostępnej wszystkim mieszkańcom miasta, wystąpił ówczesny mer Mediolanu. Realizację powierzył dwóm wybitnym ludziom teatru: dzisiejszemu kierownikowi Opery La Scala — Paolo Grassiemu i obecnemu kierownikowi „Piccolo" — Giorgio Sterhierowi. Głównym mankamentem tej zasłużonej placówki jest brak odpowiednio dużej sali. 600 miejsc w teatrze, który ma być teatrem popularnym przeszło milionowego miasta, to zbyt mało.

● W uznaniu zasług dla kultury, paryski Theatre d'Orsay ma za rok otrzymać stałą dotację, która jednak nie będzie przekraczała trzeciej części kosztów. Placówka ta jest prowadzona przez małżeństwo — Madeleine Renaud i Jean Louis Barrault'a. Lokal teatru mieści się w dawnym dworcu kolejowym, który przestał być potrzebny.

● W ramach Festiwalu Teatru i Muzyki zespół Teatru Starego z Krakowa wystawił w stolicy NRD „Biesy" Camusa według Dostojewskiego. Powodzenie było tak duże, iż trzeba było zorganizować dodatkowe przedstawienie. Na obu spektaklach był obecny reżyser i scenograf Andrzej Wajda, gorąco oklaskiwany przez publiczność.

● W Londynie wystawiono amerykański musical „Kocham swą żonę" Michaela Stewarta. Występują dwie zaprzyjaźnione pary małżeńskie, które postanawiają spędzić wspólnie święta Bożego Narodzenia. Mężowie odrzucają różne propozycje żon i postanawiają zorganizować zbiorową orgię seksualną, na którą żony ostatecznie się godzą. Potem wszystko niby wraca do normy, ale młodym żonkosiom normalne życie w sposób widoczny nie przypada już do gustu.

WYZNANIA

● „Obsadzano mnie w repertuarze romantycznym, dramatycznym, natomiast nigdy nie grałem w komediach. Uważam to za pewnego rodzaju zubożenie moich aktorskich możliwości (...) Gościnne występy aktorów w teatrach innych miast uważam za słuszne i potrzebne. Praca z innym reżyserem odświeża aktora, a publiczności daje wiele nowych wrażeń." (Mieczysław Voit).

● „Miłość? Mało mam do powiedzenia na ten temat. Tak samo bliscy mi byli przyjaciele, jak kobiety, ale tak samo moje koty. Po prostu mam do ofiarowania pewną dozę uczucia. Czy ważne, kogo się nim obdarza?". (Piosenkarz francuski Georges Brassens).

● „W wielkiej literaturze odnajduję te wartości, które najwyżej cenię, a więc przede wszystkim bogactwo treści. Właśnie treść, czyli to, co twórca ma od siebie do powiedzenia, jest najważniejszym tworzywem każdego dzieła sztuki". (Siergiej Bondarczuk).

NAGRODY

14 listopada 1977 roku w Lublinie jury w składzie: Henryk Pająk (przewodniczący), Zofia Wójcikowska, Maria Józefacka i Zbigniew Strzałkowski, przyznało doroczne nagrody literackie w dziale poezji (im. Józefa Czechowicza) i w dziale prozy (im. Bolesława Pusa). W dziale poezji nie przyznano żadnej nagrody, lecz trzy wyróżnienia po 5000 zł. Otrzymali je: Zbigniew Włodzimierz Fronczek za „Polowanie z nagonką", Aleksander Rozenfeld za „Świat oczu moich" i Alfreda Magdziak za „Śpiewaną tęsknotę". W dziale prozy pierwszą nagrodę otrzymał Adolf Lekki za powieść „Dalekie Drogi", druga Longin Jan Okoń za powieść „Tecumseh". Gratulujemy!

ekran i widz

„Sprawa Gorgonowej"

Wieczorny seans w kinie „Kosmos". „Na widowni pustawo, dostrzegam kilku adwokatów i lekarzy, jakieś starsze panie przesiadujące zazwyczaj przed południem w kawiarniach... A przecież „Sprawa Gorgonowej", najnowszy film Janusza Majewskiego, powinien przyciągać do kina tłumy. Wątek kryminalny, film z gatunku „procesowych", doskonała obsada aktorska, no i przede wszystkim — nawiązanie do autentyku z początku lat trzydziestych. Czy „tamte" sprawy, mimo zdecydowanej mody „retro", aż do tego stopnia nie interesują współczesnego młodego pokolenia? Czy zawinił niezbyt chwytliwy tytuł?

Rita Gorgonowa jest bohaterką jednego z najbardziej ponurych i najbardziej zagadkowych dramatów, jakie napisało samo życie. W domu inżyniera Zaremby w Brzuchowicach koło Lwowa została w nocy 30 grudnia 1931 r. zamordowana w tajemniczych okolicznościach jego siedemnastoletnia córka Lusia. Gorgonowa pełniła w tym domu od szeregu lat funkcję wychowawczyni dzieci Zaremby, zarazem łączyło ją z inżynierem uczucie, w wyniku którego przyszła na świat córka. W pewnym momencie stosunki między Gorgonową i Zarembą zaczęły się psuć. Inżynier dążył do zerwania związku z matką swojego najmłodszego dziecka, unikał zajęcia zdecydowanego stanowiska w sprawie alimentowania nie mającej żadnego zawodu Gorgonowej. Sprawy prowadzenia domu w coraz większej mierze przekazywał starszej córce.

W tej sytuacji podejrzenie o zamordowanie Lusi Zarembianki skierowało się przede wszystkim w stronę Gorgonowej.

W roli Rity Gorgonowej znana m. in. z „Nocy Trybad" Ewa Dałkowska.

Zarzucano jej mord z premedytacją w celu pozbycia się niewygodnej przeciwniczki. Dość wątła argumentacja strony oskarżającej nabierała mocy ze względu na głos tak zwanej opinii publicznej, podbechtywanej przez nacjonalistów — Gorgonowa była Dalmatynką, a więc „elementem obcym narodowo". Niemałą też rolę odegrała w tym procesie ciemnota i obskurantyzm miejscowego społeczeństwa atakującego mniemaną morderczynię z pozycji „moralnościowych". To wszystko miało niewątpliwie wpływ na ławę przysięgłych, która dwukrotnie, mimo braku dostatecznych dowodów winy, wydała wyrok skazujący. Sprawa Gorgonowej — chociaż w owych latach nie dostrzegano tego z taką wyrazistością — miała przede wszystkim swój niezwykle dosadny socjalny, a także w pewnej mierze polityczny wydźwięk.

Właśnie do tych ostatnich problemów nawiązuje między innymi „Sprawa Gorgonowej". Nie chodziło autorom scenariusza — Januszowi Majewskiemu i Bolesławowi Michałkowi — o stworzenie jakiejś kolejnej, sądowej „kryminałki", czy tylko o drobiazgowe odtworzenie okoliczności zabójstwa i historii oraz atmosfery głośnego procesu — chociaż właśnie sceny sądowe przynoszą zaszczyt realizatorom. Na pierwsze miejsce w tym filmie wysuwa się przecież zagadnienie dochodzenia prawdy i rządzące sposobami tego dochodzenia mechanizmy. Także problem ferowania wyroków — nie tylko sądowych — w sposób zasugerowany, bez zebrania wyczerpującego, obiektywnego materiału dowodowego. To także film o względności prawdy i o trudności, może nawet o niemożności dotarcia do prawdy obiektywnej.

Jerzy Kawalerowicz mówił niedawno — w związku ze swoją „Śmiercią prezydenta" — o potrzebie odejścia od „bajki filmowej", od „interackości" scenariuszy i o narastającym zapotrzebowaniu na filmy o nowym sposobie narracji, konstrukcji dramaturgicznej, na filmy — jak określił — typu światopoglądowego. Mniej tu chodzi o tradycyjną „fabułę", a więcej o swoistą rekonstrukcję zdarzeń nasyconych własną, wewnętrzną dramaturgią. Piszę „swoistą" bo jest to rekonstrukcja dokonywana przez dzisiejszego, myślącego współczesnymi kategoriami — twórcę. Tę ideę spełnia „Śmierć prezydenta", i tę myśl widać wyraźnie w „Sprawie Gorgonowej". Współautorem scenariusza obydwu filmów jest Bolesław Michałek... Czyżby zaczynała się tworzyć nowa, interesująca polska szkoła filmowa?

Oczywiście — „Śmierć prezydenta" i „Sprawa Gorgonowej" operują innymi środkami wyrazu, różnią się nastrojem i podjętym tematem. Ale to już rzecz na osobny felieton. Pozostaje zwrócenie uwagi na doskonałe aktorstwo całej plejady znanych polskich artystów, świetne zdjęcia Zygmunta Samosiuka, no a przede wszystkim na reżyserię Janusza Majewskiego. Myślę, że to jego najlepszy, najbardziej „zwarty" film.

M. D.

noty i notki

Nie bez zdziwienia dowiedziałem się z dodatku sportowego „Sztandaru Ludu" z dnia 28 listopada, że na finałach Pucharu Świata w siatkówce w sposób zasadniczy zmieniono regulamin. Przeczytałem bowiem w tekście: „Polacy po ciężkiej, piętnastosetowej walce zdołali przeważyć na swą stronę szalę zwycięstwa". Piętnaście setów — czy to nie przypadkiem wyzysk człowieka przez regulamin?

Tego samego dnia w „Kurierze Lubelskim" pojawił się (giez), zapowiadając wznowienie rubryczki „Pstryczki i potyczki". Aby jednak nikogo nie obrazić, (giez) zapowiada, że będzie pisał „w tonie sercoszczypatelnym". No i mamy nowe słowo w języku polskim.

Niedawno telewizja pokazała proste, jak zapewniali fachowcy, urządzenie, które zmniejsza zużycie benzyny w samochodach o 10 procent. Opatentowany już wynalazek chwalili ludzie z tytułami naukowymi, można więc przypuszczać, iż urządzenie jest rzeczywiście bardzo pożyteczne — jakieś pół miliona ton benzyny rocznie mniej mogą zużyć nasze samochody. Na zakończenie telewizja zwróciła się z apelem o zgłaszanie się ewentualnych producentów. Mnie się wydaje, że sprawą powinny się zająć przede wszystkim nasze FSO i w interesie gospodarki narodowej montować takie urządzenie w każdym wyprodukowanym przez siebie samochodzie.

Niedawno na dworcu lubelskim oczekiwałem na pociąg pośpieszny z Jeleniej Góry. Przyjechał nawet bardzo punktualnie, tylko... Na tablicy świetlnej w hallu „pisało", że wjedzie on na peron I tor I, zachrypnięty głos przez głośnik informował, że będzie to peron II tor III, w rzeczywistości pociąg wjechał na peron II tor II. No i tak można poplątać każdą najprostszą sprawę.

Lubimy czytać o wydarzeniach niezwykłych, które dzieją się gdzieś w świecie. Ale w naszym kraju też nie brakuje kuriozalnych wypadków. Oto w tygodniku „Prawo i Życie" (nr 44) wyczytałem, że pewien pieniacz sądowy z jakiegoś miasta wojewódzkiego wytoczył sprawę cywilną sędziemu, u którego przegrał najwięcej spraw — domagając się odszkodowania za utracone korzyści i straty materialne. Ale pieniacz przechytrzył i równocześnie złożył wniosek o zwolnienie go od kosztów sądowych. Sąd jednak prośby o zwolnienie nie uwzględnił i sprawa upadła, nie znajdując merytorycznego rozstrzygnięcia.

Włodzimierz Sokorski po wyeksploatowaniu własnych doświadczeń zajął się „Miłością w telewizji" („Ekran" nr 49). Dowiadujemy się więc, że „Brigitte jest niezawodna w każdym calu ciała", że autor „najbardziej wolałby posiąść Marysieńkę Sobieską" (a co z jej tzw. brzydką chorobą?), że „polityka i miłość w jednej rodzą się sypialni". Na zakończenie Sokorski stwierdza, że „świat bez kobiet nie mógłby istnieć (...) dlatego między innymi i ja lubię socjalizm i nawet go sobie wysoce cenię". Czyżby świat kapitalistyczny mógł istnieć bez kobiet?

Takie dziwne ciągotki do kobiet ujawniają również inni autorzy. W „Życiu Literackim" (nr 48) J. D. pisząc o włoskich nowościach kulturalnych przypomina pewną grupę malarską, która przestała istnieć w 1915 roku, a której teraz zrobiono wystawę. Autor wyjaśnia, że „tematyka obrazów to przede wszystkim nagie ciała kobiece (...) prostytutki", po czym proponuje niewinnie: „Czy nie warto pomyśleć o sprowadzeniu tej wystawy i do Polski? Pomyśleć można, ale sprowadzić nie, nie tylko przecież w Krakowie nie brakuje ani nagich ciał kobiecych, ani prostytutek.

Czy doprawdy znani przez wiele lat pisarze muszą w pewnym okresie przemienić się w felietonistów o bez porównania niższej randze? Jerzy Putrament w 47 numerze „Literatury" napisał felieton pt. „Życie codzienne XXI wieku" Jakie ma ono być? A więc panie otrzymają dwa rodzaje robotów do obierania ziemniaków — zły i dobry. Nie mieszcząc się na zatłoczonych samochodami ulicach, mężczyźni sprawią sobie „portatywne helikopiery" mocowane na noc do słupów na dachach. No i wreszcie będzie telewizja węchowa, a zamiast meczów piłki nożnej będziemy z góry pytali komputery o wynik. I to wszystko, co napisał Putrament o XXI wieku, przyznając, że „piszę byle jak, bez ładu i składu". Czy takie pisanie przystoi redaktorowi naczelnemu?

Znany z kąśliwego języka i rozbrajającej szczerości Hamilton napisał był (o sobie) w nr 48 „Kultury": „Felietonista jest błaznem, i tylko pod tym warunkiem, że jest błaznem, trzymają go w piśmie".

JOD

POCZTA LITERACKA

J.P. Puławy. Przysłał Pan wprawdzie tylko jeden wiersz, ale i on wystarcza, by nie robić Panu złudzeń na powodzenie w dziedzinie poezji. Taki „Jesienny wieczór" zawsze nastręcza się jako temat, kiedy autor nie ma niczego do powiedzenia. Wydaje mu się: cóż, piękno przyrody jest zawsze aktualne, tylko je odtworzyć. I powstaje obrazek, jakich masę czytaliśmy lat temu kilkadziesiąt. Żeby jeszcze nie nieporadności językowe, można by go zadedykować i ofiarować koleżance. W tej postaci świadczy tylko o braku kontaktu z tym obszarem spraw, które się na poezję składają.

B. T. Lublin. O ocenę prób literackich można się zwrócić do każdego. Jeśli już Pani znalazła drogę do redakcji, moglibyśmy wyrazić nasz pogląd na Pani teksty. Niestety, nie otrzymaliśmy ich.

S. A. „Przypowieść o szklanej górze, pięciu śmiałkach i pięknej burmistrzównie" miałaby wdzięk jako groteska operująca realiami współczesności, albo jako powiastka filozoficzna na tzw. tematy wieczne. Nie jest ani jednym ani drugim. Sytuacja albo za mało śmieszna, albo za mało „wzięta z życia", więc satysfakcja połowiczna. Może zresztą w rozmiarze całości rzecz prezentuje się fortunniej. Jako fragment — nie bierze. Maszynopisu nie możemy zwrócić, ponieważ nie mamy adresu.

K. K. Rejowiec Fabryczny. Nie chcę Pani martwić, ale to, co otrzymałem, są to bardzo wczesne początki. Gorzej: nie tędy droga. Dużo naiwności, mało opanowania słowa. Do KKMP jeszcze za wcześnie. Proponowałbym sporo poczytać dobrej poezji. Jeżeli z tego nie wynikną dla Pani wnioski, to znaczy, że i na poetyckie próby również za wcześnie.

S. A. Tarnogród. Wiersze z tomu „Do poczytania" zachowują się dziwnie. Nie powiem, że nie zatrzymują uwagi, ale zawsze przy miejscach dobrych zdarza się kiks. W żargonie recenzenckim mówi się „puszczone". Nie chciałbym argumentować konkretnymi przykładami, bo to zawsze wygląda na prześmieszki, a przecież nie taka jest moja intencja. Ale nie mam pełnej czytelniczej satysfakcji. Kiedy spotykam w tekście jakąś „cytrynową dziewczynę", podejrzewam, że sformułowania udane powstały w drodze przypadku, czy nie dostrzegania trudności. Zresztą nie upieram się przy swoim. Zobaczymy co pokaże przyszłość.

J. A. R. „Pod Tomaszowem i Krasnobrodem" ma pewne zalety przydatne dla recytacji. Ten wiersz się bardziej słyszy niż czyta. Jeśli by jakaś okolicznościowa akademia, z powodzeniem może Pan tekst organizatorom zaproponować, w druku wyjdzie niedobrze.

J. H. C. Krasnystaw. Odnosi się wrażenie, że pisze Pan trochę od niechcenia, a trochę na przekór. Nie chce zapeszać, może w takim trybie coś oryginalnego wyniknie, ale co do mnie, wolałbym czytać rzecz napisaną bardziej starannie. Bym czuł, że autor się trochę pomęczył. Ta szkicowość, to „rzucenie na papier" mimo wszystko szybko przebrzmiewa. Zostaje zdziwiona mina czytelnika. Czy nie odnosi Pan sam takiego wrażenia?

Z. S. Kozienice. Nie do przyjęcia jest ten minimalizm. Wprawdzie w wierszu zastrzega się Pan, że nie jest Mickiewiczem, Sienkiewiczem, Matejką ani Szopenem ale to wcale nie zwalnia od prób zdobycia się na własny wyraz. A z tymi próbami jest kiepsko. Wszystko jest powtórzone, banalne idzie po linii najmniejszego oporu. Ile to razy czytaliśmy o dłoniach matki? I takie właśnie nie inne słowa? Musi Pan nasycić swoje pisarstwo jakąś problematyką. Mniej ufnie zdawać się na to, co podrzuci pierwszy impuls. Droga, którą Pan obrał, prowadzi do łatwizny.

J. K. Stalowa Wola. Coś to jednak pobrzękuje naiwnością piosenki. Za mało starań o możliwie najlepszy rezultat. Poprzestaje Pan na małym. Jeżeli powiemy „Idę po ziemi szczęśliwy i przechodzę miasta rzeki i góry/ kochając i poznając od nowa/ Świat się dla mnie dopiero narodził ",to co najwyżej wyrazimy godny pozazdroszczenia stan psychiczny, bo literackich zalet w tym nie ma. Czy mam poradzić pisać o smutku? I o smutku można pisać banalnie. Rzecz w tym, że nie widać tu zmagania się ze słowem. Pisze Pan za łatwo. Za plus można jednak uznać, że nie ma w tym pozy, udawania. Poczekajmy.

T. P. Warszawa. Te wiersze idą mi zbyt jednostajnym rytmem, jak ciąg słowny, w którym nie ma artykulacji. Nie mam na myśli regularnej strofy. Mam na myśli brak akcentów znaczeniowych. Dobry wiersz zawsze dotknie nas sformułowaniem specjalnie trafnym, na taki moment przerywamy nawet lekturę. U Pana niczemu nie można zaprzeczyć, ale i niczego nie przyjmuje się ze specjalnie żywą aprobatą. Więcej śmiałości.

H. G. Werbkowice, K. G. Lubartów, Z. H. Sosnowiec, W. G. Lębork, J. K. Jelenia Góra, M. B. Konin, Roch R., R. G. Łódź, „Vanżi", K. J. F. Gorzów Wielkopolski, K. W. Gorzów Wielkopolski, J. A. K. Słupsk, J. K. Opole, K. J. W. Istebna, A. O. Łódź, J. H. Warszawa, H. B. Goleniów — nie skorzystamy.

minuta myślenia

Ach nie o Wańkowiczu...

Już widzę, jakim się okażę obskurantem, kiedy powiem, że nie podoba mi się „Karafka Lafontainea" Wańkowicza. Może nawet trzeba będzie uciekać przed linczem. Bo Wańkowicz tak się zadomowił w czytelniczym przyjęciu, że kilka słów zastrzeżenia jest nietaktem zarówno wobec niego, jak i wobec jego czytelników.

A od dawna coś mi u Wańkowicza nie pasuje, tylko nie miałem odwagi się przyznać. Zgoda: świetny reporter, dwie półkule ziemi zaliczone, znajomość języków, osobistości i ludzi, nie mała w końcu ilość przeżytych lat ale żeby wszystkie okoliczności życiowe Wańkowicza nie tylko układały się w serwis fiszek jak ulał pasujących do reportażowych smaczków? Mówiło się kiedyś: przypuszczam, że wątpię. Był też dowcip o tym, jak to Żyda przekonywało się do cudu rozmnożenia chleba przez Chrystusa. Żyd miał odpowiedzieć: „Że Chrystus kazał pozbierać kruszki, to ja wierzę; że z tego zrobiło się dużo chleba, to ja wierzę, że każdy znowu dostał, to ja wierzę; ale że oni się najedli, to ja nie wierzę".

Także ja „nie idę wierzyć", że wszystko w opisie Wańkowicza jest zaczerpnięte z rzeczywistości. Na przykład w „Karafce" jest mowa o tym, że dziesięcioletni synalek kupił na imieniny mamie koszulę, ale kupił za dużą, bo na pytanie o rozmiar odpowiedział „w sam raz" i rodzicielka musiała towar u sprzedawcy zmieniać. Pozornie wszystko w porządku. Czy nie ma matek? Nie ma synów? Nie ma imienin? Ale popatrzmy. Czy dziesięcioletni smarkacz dysponuje taką ilością pieniędzy, żeby mógł zrobić sprawunek? Czy kiedy smarkacz sprawia matce imieninowy podarek, podarkiem tym jest koszula?! Czy mogło się to stać bez udziału osoby dorosłej, a jeśli nie, to kwestia odpowiedniego numeru została załatwiona w ten sposób? Posługujemy się tu zmysłem realizmu tak zalecanym przez autora „Karafki". I nie mam pretensji, że Wańkowicz zmyśla. Lepsza ciekawa bujda, niż drętwa prawda. Ale wolałbym pod pozorem dziwnych, choć wyglądających na zmyślone wydarzeń nie otrzymywać wydarzeń zmyślonych rzeczywiście. Pisząc to, w najmniejszym nawet stopniu nie naruszam kanonu poszanowania dla nie żyjącego. Chciałbym tylko panu Melchiorowi zameldować, że wiem, kiedy nie przymknął oka. Kiedy samej rzeczywistości podpowiadał, jaka ma być niezwykła, atrakcyjna i dowcipna.

Czego się przyczepiłem Wańkowicza i jego „Karafki" nie będącej przecież nowością wydawniczą? Bo właśnie ona jest książką — zaproszeniem, książką z zamysłu autora jakby pisaną wespół z czytelnikiem, sposobnością do refleksji na temat czytelnictwa dla każdego czytelnika.

Właśnie: do diabła, mamy upadek czy rozkwit czytelnictwa w Polsce? Powiem na ucho, że moje w tej sprawie enuncjacje są oparte na niewystarczających przesłankach. Ale kiedy na ulicy — nawet w księgarni — doświadczam sposobów zachowania się raczej nie świadczących o wyniknięciu ze źródła kultury humanistycznej, czy kultury w ogóle, to chyba mam prawo w sprawie czytelnictwa widzieć regres. O, nie mówię o chuligańskich ekscesach, tych — chwalić szkoły czy kolegia orzekające — raczej niewiele, ale wystarczy trochę łokcia z czyjejś strony w kolejce, przy wejściu do autobusu, by tego kogoś nie posądzić a nadmierny, względnie z upodobaniem nawiązywany kontakt z książką. Z kolei jednak co się wyprawię po nowość, dopiero co wymienioną w anonsie wydawniczym, okazuje się, że już jej nie ma. Czyżby wiec wyprzedził mnie jegomość, który utrudnił mi wejście do trolejbusu? W końcu nie wiem, jak mam go ocenić: niekulturalny współpasażer, czy gorliwy czytelnik?

Przyznam się po raz drugi: to nieprawda, że o tym kupowaniu książek nie mam zdania: kupowanie książek dziś nie jest rezultatem zapotrzebowań intelektualnych, ale elementem obyczajowego rytuału. Oznaką konsumpcyjnego stosunku do życia. Kupują samochody ludzie, którym te samochody nie są potrzebne do komunikacji, ale do zaświadczenia o podniesieniu życiowego standardu. Zakłada się zasłony na ściany, które nie mają okien, gdyż źle pojęta estetyka wnętrza powiada, że to kulturalnie. Tak samo trzeba zapełnić czymś segmenty składanej szafy, a przy telewizorze i flaszce z „Martelem" świetnie komponuje się historia literatury francuskiej.

Oczywiście, każdy czytelnik może w tym miejscu zaoponować:

— A któż to szanownego felietonistę upoważnił do wtykania nosa za drzwi nie swojego mieszkania! Czy nie wolno kupować towarów, które są do nabycia nie koniecznie w postaci damskiej garderoby?

I rzeczywiście. Tu zgnębiony felietonista nie ma nic do powiedzenia. Musi zakończyć felieton. Tyle tylko, że dalej będzie tęsknił do czasów, kiedy się kupowało, kiedy książki się pożyczało, kiedy książki się czytało i kiedy o książkach się mówiło. Krytycznie, również krytycznie! Choćby wyszły spod najnobliwszych piór.

Ijon

Szyfrogram (nr 25)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment powieści znanego pisarza polskiego, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 14 początkowych wyrazów pomocniczych. Pojedyńcze czarne kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne — zdania.

1	■	2	3	4	■	5	6	7	8	9	■	10	11	12	13	14
15	16	■	17	18	19	■	20	21	22	23	24	25	■	26	27	28
29	30	31	32	33	34	■	35	36	37	38	■	■	39	40	■	41
42	43	44	45	46	47	48	49	50	51	52	53	■	54	55	56	57
58	59	60	■	61	62	63	64	65	66	67	68	69	70	71	■	72
73	74	75	76	77	78	79	80	■	81	82	83	84	85	86	■	87
88	89	90	91	92	93	94	■	95	96	97	98	99	■	100	101	102
103	104	105	106	107	108	■	109	110	■	111	112	113	114	115	■	116
117	118	119	120	121	122	123	124	■	125	126	127	128	129	130	131	132
133	■	134	135	136	137	138	139	■	140	141	142	143	144	145	146	147

Wyrazy pomocnicze

45. 10. 13. 61. 37 — spiralne nacięcie śruby.
53. 21. 26 18. 63 — łobuz, wesołek.
30. 38. 134. 100. 121 — do konserwacji dachów.
31. 81. 68. 33. 77. 42. 24. 140. 15 — ufortyfikowane miasto.
7. 55. 23. 131. 58. 137 — dawna dzierżawa.
72. 133. 118. 142 — staroindyjskie święte księgi.
34. 19. 82. 88. 56. 108. 8 — dawny uczony, filozof.
40. 102. 5. 16. 11. 95 — okresowe obniżanie się poziomu morza.
6. 29. 20. 52. 92 — miasto w woj. bydgoskim ze starym grodem kasztelańskim.
3. 73. 65. 129. 79. 104. 60 — sznur w łuku.
2. 106. 47. 124. 111. 145. 62 — dział medycyny zajmujący się chorobami wewnętrznymi.
51. 93. 113 107 120. 114 — stolica starożytnej Asyrii.
80. 41 126. 98. 147. 54. 27. 14. 69 — padaczka.
32. 71. 85. 103 — figura geometryczna lub dzielnica Warszawy.
109. 119. 116. 105. — 24 godziny.
128. 86. 22. 89. 59. 46 — niepewne przedsięwzięcie.
87. 96. 12. 112 — w szczękach.
66. 48. 97. 70. 57. 125. 132. 127. — stan liczebny zwierząt.
138. 91. 136. 36 — cukrownia w woj. białostockim
83. 67. 122. 81. 143. 84 — świeżo spadły śnieg dla myśliwych.
39. 115. 141. 139 — dzielnica Warszawy lub poznańskie ziemniaki.
110. 135. 44. 114. 123.. 130. 76 — samotny dzik.
17. 25. 35. 49. 74. 64. 99 — nakrycie stołu.
4. 117. 28. 101. 75 — rycerz spod Wiednia z pióropuszem.
1. 9. 43. 90. 50. 78. 146. 94 — wypowiedzenie pojedynku.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-951 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 23 był fragment „Cichego Donu" Michała Szołochowa:

„Pustynna cisza rozpościerała się na ulicach. Koło bramy Pałacu Zimowego spotkał Kozaków patrol junkrów i oficerowie czwartej sotni kozackiej. Jeden z nich, dowódca sotni, odwołał Listnickiego na bok".

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 23 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Alina Ptasińska 20-113 Lublin Rady Delegatów 25/26, Waldemar Pleśniak 20-676 Lublin Krakowskie Przedmieście 53/27, Franciszek Dabski 66-400 Gorzów Wielkopolski Garbary 17/4, Eugeniusz Tokarczuk 22-500 Hrubieszów Polna 15/38.

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich

Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Jerzy Dostatni, (sekretarz redakcji), Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:
— do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do dnia 10 miesiąca, poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 78.—

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH".

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni, zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" Centrala Kolportażu i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 3005. J-4.

Numer łamał Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Stanisława Wielgosa

Nr indeksu 36251

Adres redakcji 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, z-ca red. nacz., dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

czas. 2552/1977/25.

Więdnąca czerwona róża

1

JEDNĄ z atrakcyjniejszych odmian turystyki w naszym kraju jest turystyka literacka. Udając się na przeróżne zjazdy, uroczyste zakończenia konkursów literackich i sympozja, można zwiedzić niejeden uroczy zakątek kraju — nie nadwerężając własnych oszczędności. I co nie mniej ważne — nikt podczas trwania imprezy nie musi martwić się o dach nad głową: w dzisiejszych czasach nie jest to sprawą bez znaczenia.

Nie zapewniamy pokojów jednoosobowych — piszą do mnie w zaproszeniu organizatorzy konfrontacji poetyckich z Częstochowy. I brzmi to jak przyznanie się do winy. Do ciężkiej winy!

2

Poezja. Słowo wydobywane przy różnych, niekiedy najmniej spodziewanych okazjach. Brzmi odświętnie. Niejeden się na to nabrał i niejednego nabiorą.

— Będziemy urządzać wieczory przy świecach, w kominkach smażyć kiełbasę i słuchać poezji. Już dziś zapraszam — mówi zażywny jegomość, kierownik domu kultury, który zostanie otwarty za rok.

Wieczory przy świecach to jest wielka część programu kulturalnego. Mówi to z miną człowieka, który odsyła do głodującego azjatyckiego kraju pociąg składający się z cystern wypełnionych gorącą zupą.

Wbrew pozorom nasze społeczeństwo składa się z ludzi nadzwyczaj zapobiegliwych. Koniak, którego szwagier nie chciał przyjąć za załatwienie przedszkola dla córki, zazwyczaj chowa się głęboko do szafy. Poczynaniom tym towarzyszy myśl, że przyda się, gdy dziecko rozpocznie edukację.

Gdy kwitną chryzantemy, imprezy kulturalne przybierają nazwę złocistych chryzantem, a poeci ubiegają się o laur złocistej chryzantemy. Laur czerwonej róży, jak nietrudno się domyśleć, wypada, kiedy róże są najtańsze. Przypada to na dni przed mrozami, kiedy róże ścina się na miejskich trawnikach. I jest ich dużo. Czy możliwe jest zdobycie takich ilości rododendronu?

4

Wbrew modnym postulatom wyjścia z poezją na ulicę, mówienia wprost i pełnym głosem, organizatorzy kolejnego turnieju poezji społecznie zaangażowanej, a noszącego nazwę Czerwonej Róży, zapalili świece i mówili szeptem. Ktoś zaczął gasić świece i domagać się zapalenia światła. — Więcej światła — wrzeszczał. — Więcej światła! Patrzono na niego, jakby usiłował zbezcześcić zwłoki Goethego.

5

Tam na ścianie napis: tu swe wiersze czytał studentom Wybrzeża Władysław Broniewski. A tu porządkowi wyrzucają pijanego poetę. Ciekawe, czy za kilkadziesiąt lat napiszą, że wyrzucono stąd takiego a takiego.

Organizatorzy: Na naszym konkursie laury zdobywali poeci, którzy jak gwiazdy błyszczą na firmamencie współczesnej literatury.

6

Nazwisk nie podaję. Często bowiem zapomina się, że gwiazdy świecą również światłem odbitym.

Staram się zaakcentować inny fakt. Czerwona Róża liczy już sobie osiemnaście lat. Rozpoczynało się więc dawno. I dawno już zaczęło się coś psuć. Niezgorzej zazgrzytało, gdy znana poetka wystąpiła z jury na znak protestu przeciw forsowaniu przez pozostałych członków nagrody dla osobnika, który zdaniem poetki na nią nie zasługiwał.

Wiele rzeczy przestało już na tym turnieju obowiązywać. Coraz rzadziej jakaś indywidualność przewodniczy jury i wręcza nagrody laureatom. Na ostatnim turnieju przewodniczący nie uczestniczył w imprezie. Konkurs Czerwonej Róży, jako jeden z nielicznych, dopuszcza do udziału niestowarzyszonych amatorów i członków ZLP. Trudno jednak znaleźć wśród startujących członków ZLP, coraz trudniej znaleźć ich także w składzie jury. Nikogo już nie dziwi fakt, że w gonitwie o główną nagrodę najwięcej szans mają tubylcy. W sporcie nazywa się to sędziowaniem pod gospodarzy. W konkursach literackich: ładny gest jurorów w stronę organizatorów.

Asmodeusz

RYS. WIESŁAW FUGLEWICZ

Casanova Pamiętniki

rys Krystyna Wojcik

8